Rok XII. Nr. 1.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Styczeń.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1906.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1906 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

O Dzieciach Maryi.

(Dokończenie.)

Prawo erekcyi i naczelne kierownictwo stowarzyszenia Dzieci Maryi należy do Przełożonego Generalnego obydwu Rodzin św. Wincentego; faktycznie spełnia ten urząd na mocy delegacyi każdorazowy główny Dyrektor Sióstr Miłosierdzia, dyplom erekcyjny wychodzi jednak zawsze z kancelaryi ks. Generała.

Pierwszym generalnym Dyrektorem Dzieci Maryi został ich organizator, ks. Jan Maryan Aladel. Gorliwość nadzwyczajna, roztropność, poświęcenie i miłość znamionowały tego zacnego syna św. Wincentego. Przejąwszy się swoją misyą szerzenia czci Niepokalanego Poczęcia, został jej wiernym aż do śmierci. Miłość ks. Aladel do Najśw. Panny była tak wielką, iż go nazywano drugim św. Bernardem; podobnie jak ten św. doktor Kościoła nie wygłosił ks. Aladel żadnego niemal kazania a nawet przemowy, żeby w nich nie wspomniał o potędze i dobroci Maryi. Gdy wielbił z kazalnicy cnoty Niepokalanej, napełniały się oczy jego łzami, oblicze jaśniało zapałem, jego zaś słowa takie wywierały wrażenie, że słuchacze często mawiali: Gdy umrze ten kapłan, nie znajdzie się drugi, któryby w ten sposób potrafił wysławiać świętość Królowej Nieba. Pod kierunkiem takiego dyrektora rozwijała się Kongregacya bardzo pomyślnie, zwłaszcza, że ją popierał ze wszystkich sił ówczesny Generał Ks. Ks. Misyonarzy ks. Etienne, człowiek, łączący z głęboką nauką niemniej głęboką pobożność i wyjątkowy talent organizatorski.

Ks. Etienne był zawsze obecnym na zebraniach ogólnych, przemawiał nieraz ze zwykłem sobie ciepłem na miesięcznych — w kaplicach Sióstr Miłosierdzia. On także podsunął

ks. Aladel szczęśliwą myśl, żeby ułożyć zbiór modlitw i przepisów dla stowarzyszonych; w r. 1850. wyszedł z druku t. zw. „Manualik Dzieci Maryi“, który się wkrótce rozszedł w 50.000 egzemplarzy. Sam ten szczegół mówi dowodnie o szybkim wzroście stowarzyszenia.

Ponieważ zaś dzieła często tracą na wewnętrznej wartości i spoistości w miarę, jak zataczają coraz szersze kręgi, nakłaniał ks. Etienne do wydawania osobnego organu stowarzyszenia, któryby się przyczyniał do podtrzymywania jedności między rozrzuconemi już po całej Europie placówkami Dzieci Maryi. To też ks. Aladel gromadził pilnie materyał do historyi stowarzyszenia, prowadził sumiennie jego statystykę, lecz dokuczliwa choroba ostatnich lat nie pozwoliła mu zrealizować projektu ks. Generała. Śmierć ks. Aladel i przeciągła choroba następnego dyrektora, ks. Vicart, opóźniły jeszcze bardziej sprawę tak, iż dopiero w r. 1868. ukazał się pierwszy numer czasopisma p. n. *Annales des Enfants de Marie.* Pierwszy rocznik poświęcono słusznie temu, który rzucił podwaliny pod całe dzieło, księdzu Aladel. Czasopismo miało się przyczynić do większej łączności między poszczególnemi stowarzyszeniami i służyć jako środek wzajemnego porozumienia się; pomieszczana tam statystyka zaznajamiała z rozwojem dzieła, żywoty zmarłych członkiń, które jaśniały wybitnie cnotliwem życiem i sprawozdania z różnych kółek podniecały do pracy, napawały otuchą. Nie tutaj koniec zasług ks. Etienne około stowarzyszenia.

Pomijając już fakt, że w okólnikach do Zgromadzeń Ks. Ks. Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia gorąco to dzieło polecał, trzeba podnieść, że nieraz stawał w jego obronie, gdy je chciano w pewnych sferach zastąpić innemi stowarzyszeniami. W r. 1869. wyszła także z jego polecenia nowa edycya „Manualika“ staranniejsza i obszerniejsza od pierwszej, choć i ona miała zasadniczą wadę, zastosowana bowiem była specyalnie do dziewcząt ze szkół i szwalni Sióstr Miłosierdzia, nie uwzględniając położenia i potrzeb panien, dochodzących z miasta. Dopiero w r. 1882 wyszedł za staraniem

obecnego Generała, ks. Fiat, „Manualik“, uwzględniający w całej pełni życie stowarzyszonych wśród świata.

Nie będziemy tu szczegółowo rozbierali statutów, zawartych w „Manualiku“, bobyśmy musieli powtarzać jego treść; zaznaczymy tylko, że stowarzyszenie składa się z aspirantek i stowarzyszonych. Ponieważ stowarzyszenie ma doprowadzić wybrany zastęp młodzieży do stóp Niepokalanej, potrzebny tu jest podobnie jak w zakonnych zgromadzeniach czas próby i jakby nowicyat — okres przygotowawczy do godności Dziecka Maryi. Czas próby trwa 3 miesiące, poczem wstępuje się na cały rok do szeregu aspirantek. Przeszedłszy przez tę szkołę przygotowawczą, otrzymuje aspirantka medal na błękitnej wstędze, oznakę stowarzyszonych.

Pomimo wspomnianej ostrożności w przyjmowaniu nowych członków zdumiewającym był wzrost tego dzieła, czego dowodem jest zeszyt jubileuszowy z 1897. r., podający statystykę i pogląd na ogólną działalność Dzieci Maryi. Pamiętnym jest ten rok w ich historyi z podwójnej przyczyny: stowarzyszenie święciło w nim uroczyście 50. rocznicę swego powstania, a nadto 29. lipca za zezwoleniem Stolicy św. spoczęła złocista korona na skroniach Niepokalanej Dziewicy od Cudownego Medalika w kaplicy Domu Macierzystego Sióstr Miłosierdzia w Paryżu. Kaplica ta była kolebką stowarzyszenia, jego fundatorką zjawiona tam Boga-Rodzica Dziewica. To też Dzieci Maryi w tej podniosłej chwili zdążały na to miejsce w uroczystych procesyach, by tam wspólnie przystąpić do stołu Pańskiego; przybywały ich deputacye nie tylko z dalekich stron Francyi lecz nawet z zagranicy. Jak niegdyś objawienie Cudownego Medalika dało impuls do tego ruchu, którego końcowym aktem było ogłoszenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia, tak koronacya Niepokalanej od Cudownego Medalika i współczesne uroczystości jubileuszowe były przygrywką do tego hołdu, jaki świat katolicki złożył Królowej Nieba w r. 1904. Myśl ta nie wyda się przesadną, jeżeli zważymy, że w r. 1897. święciło 50. rocznicę swego założenia 107.000 Dzieci Maryi, rozproszonych po wszystkich częściach świata.

Najpomyślniej rozwijały się stowarzyszenia we Francyi, co sobie zresztą można wytłómaczyć wielką liczbą zakładów Sióstr Miłosierdzia w tym kraju; w samym Paryżu było w roku jubileuszowym 5622 członkiń, w całej Francyi 35.634. Z innych krajów Meksyk, Włochy, Hiszpania i Austrya dostarczały najliczniejszych zastępów do Kongregacyi. Trudno mówić o rozwoju stowarzyszenia w każdym kraju zosobna, notujemy tylko ogólnie, że przez 50 lat zapisało się około pół miliona panien pod sztandar Niepokalanej Dziewicy, z tych zaś szeregów powołał Pan Bóg 20.000 do różnych zgromadzeń zakonnych.

Niezupełnym byłby dla nas ten rys historyczny „Dzieci Maryi", gdybyśmy choć pokrótce nie naszkicowali rozwoju tego dzieła w krakowskiej i chełmińskiej prowincyi Sióstr Miłosierdzia.

Dwadzieścia pięć stowarzyszeń Niepokalanego Poczęcia dla dziewcząt domowych i dla panien przychodnich istnieje obecnie w galicyjskich domach Sióstr Miłosierdzia; w Maryampolu, w Budzanowie, Rohatynie i Choderkowcach znajdują się nadto stowarzyszenia dla młodzieńców.

W Galicyi zawiązało się najpierw stowarzyszenie w domu św. Kazimierza we Lwowie; chociaż pierwsze zebranie Dzieci Maryi odbyło się tam dopiero 1860. r., to jednak dyplom erekcyjny otrzymano już 1852. r., t. j. 5 lat od kanonicznego zatwierdzenia Kongregacyi. Z kolei następuje dom w Czerwonogrodzie, gdzie stowarzyszenie istnieje od r. 1860. W roku 1861. powstaje nowe ognisko w Maryampolu, 1862. r. w Bursztynie i u św. Łazarza w Krakowie, gdzie jednak na dłuższy czas zagasło, wskrzeszono je 1898. r. W krakowskim domu centralnym zawiązało się 1863. r. stowarzyszenie z panien przychodnich, przeniesiono je zaś we wrześniu 1887. r. do nowo zbudowanej szkoły im. św. Stanisława Kostki. W roku 1863. otrzymały nadto dyplom erekcyjny domy w Rozdole i przy szpitalu św. Ducha w Krakowie, w r. 1887. powstało nowe ognisko dla dzieci domowych w krakowskim domu centralnym. Dom św. Wincentego we Lwowie otworzył podwoje

dla stowarzyszenia panien przychodnich 1869. roku. Z kolei powstają nowe ogniska w Przeworsku 1873. r., w Budzanowie 1876. r., w Założcach i Moszczanach 1877. r. Dom Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w Krakowie otworzył w r. 1881. nową przystań dla „Dzieci Maryi" domowych i przychodnich. W r. 1891. nastąpiła erekcya stowarzyszenia w Rohatynie, 1894. r. w Nowosiółkach, 1895. r. w zakładzie im. Helclów w Krakowie, 1899. r. w Choderkowcach. Rozkwit stowarzyszenia „Dzieci Maryi" nastąpił po r. 1900., odtąd bowiem postarało się o patent 8 domów Sióstr Miłosierdzia, a mianowicie: w Krakowie domy św. Łazarza, św. Ludwika i Dobroczynności, nadto dom w Łobzowie i dom im. Bilińskich we Lwowie, wreszcie Sądowa Wisznia, Czortków i Białykamień.

Ks. Ks. Misyonarze otworzyli dotychczas dopiero jedno męskie stowarzyszenie „Dzieci Maryi"; powstało ono 1870. r. za staraniem śp. ks. wizytatora Soubielle i ks. Jana Coursières w Krakowie na Kleparzu dla chłopców uczęszczających na katechizm do tamtejszego domu centralnego. Stowarzyszenie to po dwukrotnych przerwach (1876—1886 i 1890—1904) wskrzeszono znowu w r. 1904., przeznaczając je wyłącznie dla młodzieży szkół gimnazyalnych i realnych. Ażeby tej młodzieży ułatwić w przyszłości przyjęcie do Sodalicyi maryańskich, rozpowszechnionych po całej Galicyi, postarano się w Rzymie 1905. r. o agregacyę do *Prima Primaria.*

Z całej Galicyi najwięcej członków liczy ognisko w domu św. Stanisława Kostki w Krakowie, gdzie liczba Dzieci Maryi wynosi przeszło 200; trzeba także nadmienić, że stowarzyszeniu temu przewodniczył przez 26 lat z niezwykłą gorliwością śp. ks. wizytator Soubielle.

Zresztą urok, jaki wywiera dogmat Niepokalanego Poczęcia na młode serca, znajduje wymowny wyraz we wszystkich ogniskach bez wyjątku: w uroczystości Najśw. Maryi Panny przystępują stowarzyszone najczęściej wspólnie do Komunii św., ażeby z niej zaczerpnąć siły do apostolstwa wśród świata pod jednem hasłem Niepokalanej, ażeby ze-

wnętrznie stwierdzić, że stanowią rodzinę, złączoną jedną dla Maryi miłością.

Bardzo bujnie rozrosło się stowarzyszenie „Dzieci Maryi“ w prowincyi chełmińskiej Sióstr Miłosierdzia, ale też należy zaznaczyć, że pierwszy posiew rzuciła tam dłoń świętobliwego Misyonarza, ks. Kamockiego. Praca wydatna tego kapłana i energia ówczesnej wizytatorki Sióstr Miłosierdzia, Siostry Studzińskiej, zjednały sobie taką sympatyę społeczeństwa, że w przeciągu ich 14-letniej, wspólnej działalności oddano w tej prowincyi 18 zakładów pod zarząd Córek św. Wincentego; każdy zaś dom usiłował założyć u siebie ognisko „Dzieci Maryi“, a jeżeli się o to sam nie postarał, to nakłonił ks. Kamocki.

Mie mogąc mówić o każdym domu poszczególe, zwrócimy specyalnie uwagę tylko na stowarzyszenie w Chełmnie, Poznaniu i Bytomiu. W Chełmnie powstało stowarzyszenie w r. 1856. za inicyatywą ks. Kamockiego i zapisało dotychczas w swym katalogu przeszło 2000 panien. Pan Bóg błogosławił widocznie temu ognisku od samego początku, bo chociaż na dyplom erekcyjny z Paryża trzeba było czekać 2 lata, nie ostygł wcale zapał ani zachwiało się przywiązanie do tego dzieła, czego dowodem jest fakt, że z pierwszych 14 Dzieci Maryi 6 wstąpiło do Sióstr Miłosierdzia, stowarzyszenie zaś zwrastało z każdym rokiem tak, iż obecnie liczy 450 członkiń. Z wielką uroczystością obchodzono tam 25. rocznicę powstania ogniska, jeszcze większa zapowiada się na rok bieżący z powodu 50-letniego jubileuszu, zwłaszcza, że żyją jeszcze niektóre z pierwszych Dzieci Maryi.

W Poznaniu są 3 stowarzyszenia, z których najpomyślniej rozwija się z natury rzeczy to, które się otwarło dla panien przychodnich; 500 Dzieci Maryi zgromadza się obecnie co niedzielę w domu św. Józefa, aby tam spędzić kilka godzin na wspólnych modłach i śpiewach ku czci Niepokalanej, dodać sobie otuchy w trudach życia. Ilością stowarzyszonych góruje to ognisko nad wszystkiemi innemi obydwu naszych prowincyi Sióstr Miłosierdzia, nie tyle jednak

trzeba tam podziwiać liczbę co przykładną gorliwość. W bytomskiem kółku Dzieci Maryi uderza przedewszystkiem wielka liczba powołań zakonnych, która obecnie dochodzi do 60. Ta sama cecha odznacza stowarzyszenie w Lubawie, gdzie liczba powołań wynosiła dotychczas 70, do samego Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia wstąpiła stąd 58 panien. Liczniejsze ogniska Dzieci Maryi znajdują się nadto we Wrocławiu, w Biskupicach i Wolsztynie.

Pomyślny rozwój tego stowarzyszenia i u nas i zagranicą napełnia tem większą radością, gdy się zwróci uwagę na doniosłe jego znaczenie dla Kościoła i społeczeństwa.

Prasa i związki są dzisiaj potęgami, w których się albo współdziała, albo im też z konieczności uledz trzeba; prasa oryentuje umysły, zagrzewa serca, roznosi po świecie hasła, towarzystwa przygotowują do czynu, do życia, a ponieważ życie jest walką, szeregują pod różnymi znakami swoich członków do boju. Nic też dziwnego, że z Watykanu i wieców katolickich wychodzą nawoływania do tworzenia katolickiej prasy i organizacyi, któreby w swojem łonie wykształcały szermierzy Chrystusowych. Jeżeli w XVI. czy XVII. wieku Sodalicye stanowiły milicyę duchową Kościoła, to tem wyraźniej musi ten charakter wystąpić w czasach obecnych, gdy wszystko, co chce działać, skupia, organizuje swoje siły.

Nadeszły dni, w których nie wystarcza w tajnikach serca przechowywać swoje *credo,* bo z jednej strony nieprzyjaciel na to nie pozwoli, z drugiej wiele umysłów chwiejnych, wiele dusz słabych, które dopraszają się jakby zachęty, podpory przykładu. Duchowieństwo spotyka się nieraz z uprzedzeniem, wpływ jednostek jest niezmiernie ograniczony, bogaty plon żniwują tylko Towarzystwa. Ostatecznie pierwiastki rozkładu i zepsucia, mając sojusznika w namiętności ludzkiej, szerzą się łatwo jak zaraza, pierwiastek jednak nadprzyrodzony, Łaska, każe namiętność ujarzmić, stąd większej tu trzeba siły, lepszej organizacyi, reszty dopełni pomoc Boża. Uderzającym jest fakt, że obozy katolickie zrzeszają się w XIX. wieku

do walki pod protektoratem Królowej Nieba; papieże, biskupi i lud zwracają się do Niepokalanej jako do gwiazdy, która ich poprowadzi do zwycięstwa w boju za wiarę i Chrystusa. W odpowiedzi na to Najświętsza Marya Panna sieje cuda łaski, wyprasza błogosławieństwo Boże dla dawnych swoich hufców, powołuje wreszcie do życia nową milicyę, nowe stowarzyszenie Dzieci Maryi, któreby pod hasłem jej Poczęcia Niepokalanego stawiło czoło niemoralności, która poparta przez nędzę, wkrada się tak często w serca warstw uboższych. Wprawdzie t. zw. wyższe warstwy starają się nieraz w duchu Chrystusowym oddziaływać na szerokie masy ludu, ale trzeba przyznać, że ten wpływ będzie ograniczony, spotka się z nieufnością. Jest potrzebny rodzaj samoobrony, organizacya warstw najbardziej zagrożonych, stowarzyszenia dla zarabiających na chleb. Ten to charakter nosi stowarzyszenie „Dzieci Maryi", którego kolebką jest kaplica Sióstr Miłosierdzia w Paryżu.

Gdzie nie potrafi sięgnąć praca kapłana ani moralny wpływ zakonnicy, tam rozwija apostolstwo stowarzyszenie „Dzieci Maryi". Gdy n. p. rewolucya wypędziła w r. 1873. z Meksyku Siostry Miłosierdzia, Stolica św. specyalnym dekretem oddała kierownictwo tamtejszych stowarzyszeń Zgromadzeniu Ks. Ks. Misyonarzy, a razem z tym przywilejem zlało się błogosławieństwo Boże na ten hufiec Maryi, bo już w r. 1897. należało do jego szeregów 24.000 stowarzyszonych, w r. zaś 1904. wynosiła ich liczba do 33.000. Jeżeli do tego dodamy 60.000 Pań Miłosierdzia, działających na ziemi meksykańskiej, to musimy przyznać, że palec Boży wskazał tym stowarzyszeniom pole, które musiały opuścić pokrewne im duchem i pochodzeniem Siostry Miłosierdzia. Podobne do spełnienia zadanie mają obecne stowarzyszenia we Francyi, gdzie ręka masońska powyrzucała Córki św. Wincentego ze szpitali, szkół i zakładów dobroczynnych. Przewidując ten stan rzeczy, udzielił papież Leon XIII. reskryptem z r. 1903. tym stowarzyszeniom wszystkich przywilejów Dzieci Maryi nawet wtedy, kiedy nie będą mogły się gromadzić

w domach Sióstr Miłosierdzia. Stowarzyszenia tego nieszczęśliwego kraju z pewnością nie zawiodą pokładanych w nich nadziei, bo znanem już jest ich skuteczne apostolstwo w niewierzącym i zepsutym Paryżu, gdzie im wielu dorosłych zawdzięcza przyjęcie chrztu i pierwszej Komunii św., wielu nieszczęśliwych pociechę, wielu biednych skuteczną opiekę.

Podobna apostolska działalność Dzieci Maryi po wszystkich krajach nie zostaje bez nagrody ze strony ich Opiekunki w niebie: najliczniejsze stosunkowo wota za odebrane łaski zawieszają obecnie Dzieci Maryi przy ołtarzach Matki Boskiej, w jej zaś święta lub w soboty idą zwykle po nagrodę do nieba, umierając dziwnie lekką śmiercią, nieraz z uśmiechem na ustach. Sprawdzają się tu słowa św. Bernarda, powtarzane czestokroć przez ks. Aladel: „Być wiernym Dzieckiem Maryi znaczy być dzieckiem nieba".

Ks. Czesław Lewandowski.

Duchowieństwo polskie w Paranie.

Nie opuścił Bóg kolonistów polskich w Brazylii, ale przysyłał im kapłanów, którzy ich pokrzepiali na duchu i osładzali pobyt w obcym kraju. Osadnik polski na obczyznie, mając kościół i kapłana rodaka, zaaklimatyzuje się prędko i już mało kto tęskni za ojczyzną, jeżeli się znajduje w lepszych warunkach materyalnych.

W Paranie pracowało kilkunastu kapłanów polskich; jedni z nich już poumierali jak: Ks. Soja, Ks. Józef Fuliński, inni wyjechali jak: Ks. Słupek, Ks. Górowski, Ks. Dziatkowiec, Ks. Iwanów, Ks. Bronikowski; obecnie jest jeszcze wszystkich razem 13 księży polskich, mianowicie 4 Ks. Ks. Misyonarzy: Ks. Bayer z Ks. Chylaszkiem na kolonii Thomaz-Coelho pod Kurytybą, Ks. Sołtysik z Ks. Mięsopustem na kolonii Lucena na pograniczu Parana i Santa Catharina a w najbliższem sąsiedztwie dzikich Botokudów; Ks. Leon Niebieszczański na kolonii Abranches i Ks. Jan Miętus na kolonii Orleans. Obydwie kolonie są pod Kurytybą, materyalnie stoją wraz z kolonią Thomaz-Coelho najlepiej z wszystkich kolonii w Paranie, bo z powodu blizkości Kurytyby łatwy jest zbyt produktów rolnych. Wszystkie trzy kolonie mają ładne kościoły i plebanie, na kolonii Abranches są 3 Siostry Miłosierdzia, Polki, przy szkole a obecnie sprowadza także Ks. Jan Miętus Siostry Rodziny Maryi na Orleans.

Ks. Ludwik Przytarski na wielkiej kolonii Rio-Claro jest nestorem naszych księży polskich, przeszło 30 lat pracuje w Paranie. Wybudował piękny kościół drewniany z ogromną wieżą, kochają Go wszyscy koloniści. W czasie zamieszek dostał się na pewien czas do przykrego bardzo więzienia, już prawie wyrok śmierci zapadł na niego.



Dom Sióstr Miłosierdzia w Abranches.

Ks. Władysław Smołucha pracuje na kolonii Las Matheus, gdzie wybudował duży kościół drewniany pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej; jest to najpiękniejszy kościół polski w Paranie. Podczas ostatniej rewolucyi został schwytany, wraz z siedmiu obywatelami do więzienia wtrącony i na śmierć skazany; cudem tylko uszedł śmierci. Wielki patryota polski, przechowuje garnuszek ziemi polskiej, ażeby kiedyś na niej po śmierci spocząć.

Ks. Jakób Wróbel na kolonii Agua Branca (biała woda) dojeżdża także na kolonię Rio dos Patos i Santa Barbara. Prowadzi sam zupełnie bezinteresownie szkołę, kościół śliczny i czyściutki, w kościele zaprowadzony śpiew łaciński, śpiewa cały lud. Jest to kapłan bardzo inteligentny i wielki asceta.

Ks. Kazimierz Andrzejewski osiadł w mieście Castro, na parafii brazylijskiej, tylko garstka Polaków znajduje się w mieście i na maleńkiej kolonii pod miastem. Kapłan to bardzo sympatyczny, kochany zarówno przez Brazylianów jako też Polaków, wśród których pracował, włada jak rodowity Brazylianin językiem krajowym.

Ks. Jan Wołyncewicz jest w mieście Ponta-Grossa, do którego to miasta należy kilka kolonii polskich. W samem mieście piękny murowany kościół, zbudowany przez Ks. Jana Rymara, który jest obecnie na parafii czysto brazylijskiej.

Ks. Józef Anusz na kolonii Ignassu — jest dopiero od dwóch lat w Paranie.

Prócz tych księży polskich jest u OO. Franciszkanów w Kurytybie O. Floryan, władający językiem polskim a w Zgromadzeniu Ks. Ks. „Verbi Divini“ Ks. Trzebiatowski, który pracuje w Kurytybie nad Polakami i Ks. Dworaczek na kolonii Muricy.

Dla Rusinów jest Ks. Rozdolski na kolonii Rio-Claro i trzech OO. Bazylianów na ogromnej kolonii Prudentopolis, skąd objeżdżają kolonie ruskie i zaopatrują potrzeby Rusinów, rozproszonych po innych koloniach.

Zadanie wszystkich tych księży bardzo trudne, bo czasy i stosunki w Paranie coraz smutniejsze. Handel i przemysł nie rozwijają się wcale, o pieniądz coraz trudniej a kolonista,



S. Ziętak. S. Olsztyńska. S. Suchoświat.

mieszkający zdala od miasta, nie ma sposobu sprzedać produktów swoich, handel jest przeto zamienny. Przyznają to sami Brazylianie, że nie pamiętają tak ciężkich czasów jak obecne; przechodzi Parana kryzis, a każdy z obawą patrzy w przyszłość, jak się skończy.

Jak wogóle za morzem tak i tu duchowieństwo jest zależne od parafian, którzy utrzymują swoich księży. To też nie brak nieporozumień, które wywołują ludzie złej woli i którym dopomagają niektórzy z rodaków, którzyby radzi panować nad całą emigracyą i ścierpieć nie mogą, że duchowni mają tak wielkie zaufanie u ludu. Zamiast zgody targa się jedność i traci się na szacunku u Brazylianów, którzy tego wcale pojąć nie mogą, czemu to Polacy z sobą się kłócą. Smutny to obraz i ciemna strona emigracyi w Paranie.

Ciężką jest jeszcze kwestya szkolnictwa dla tamtejszego duchowieństwa polskiego. Kolonie są wielkie i rozrzucone, potrzebaby na niektórych koloniach do sześciu lub ośmiu szkół, a tu jednej częstokroć utrzymać się nie da, bo niema ani funduszów potrzebnych na wybudowanie szkoły i utrzymanie nauczyciela ani — co gorsze — odpowiednich ludzi, kwalifikujących się na nauczycieli. Stąd nowo powstała gazeta polska podnosi krzyk na duchowieństwo, że się szkolnictwem nie zajmuje wcale, a ksiądz stoi bezradny, sam uczyć nie może, bo mu obowiązki przy rozrzuconej parafii na to nie pozwalają, wśród ciężkich warunków na odległej kolonii z biedą tylko potrafi zaspokoić własne potrzeby, a wreszcie zdarza się niejednokrotnie, że sam musi zamknąć szkołę, bo nauczyciel to człowiek wykolejony i więcej stąd zgorszenia niż pożytku. Smutne to bardzo, ale prawdziwe, że zdarza się to, iż przysyłają na kolonię kogoś w charakterze nauczyciela na to tylko, by ludzi poróżnić z miejscowym kapłanem. Tymczasem młodzież dorasta i to prawie sami tylko analfabeci. U niemieckich kolonistów jest całkiem inaczej, bo rząd niemiecki obraca ogromne fundusze na szkoły w Brazylii i dzięki temu Niemcy biorą górę, liczą się z nimi Brazylianie, stan Santa-Catharina prawie na wskróś jest pro-

wincyą niemiecką. Tymczasem z braku oświaty cierpią nasi koloniści i przed krzywdami i uciskiem sami bronić się nie umieją i nikt też ich nie obroni — potrzeba tam koniecznie oświaty i szkół. Dotychczasowe szkoły poprzestają tylko na tem, by się dzieci nauczyły trochę czytać i przyswoiły sobie tabliczkę mnożenia. Oby to przynajmniej wszystkim naszym biednym dzieciom przystępnem było! Obecnie jedną z najlepszych szkół w Paranie jest szkoła, którą mają Siostry Miłosierdzia od dwóch lat na Abranches pod Kurytybą — powstanie druga taka na kolonii Orleans. Gdyby ktoś ofiarował jaki fundusz, znalazłoby się pewnie wiele takich Sióstr, któreby chętnie jechały za ocean a wtenczas rozpoczęłaby się inna epoka dla naszej emigracyi w Brazylii. Ks. Ks. Misyonarze mają zamiar założenia w najbliższym czasie w Paranie szkoły, którąby można przy sprzyjających warunkach podnieść do rzędu kolegium.

Ks. Hugo Dylla.

Sprawozdanie z misyi w Paranie (Brazylia), przedłożone Przewiel. ks. Józefowi Kiedrowskiemu, Wizytatorowi prowincyi polskiej Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy.

Już wiele czasu upłynęło od ostatniego mojego sprawozdania z misyi, odprawionych wśród Polaków w Brazylii. Nieraz chwytałem za pióro, by opisać przynajmniej misyę na Lucenie, ale jako wśród wojny rolnik odłogiem zostawia pole, tak podobnie w ciągłem zamieszaniu i rozterce ostatnich miesięcy trudno było zamiar ten uskutecznić a często i nawał pracy stawał na przeszkodzie.

Tymczasem opiszę misyę na kolonii Lucenie, którą odprawiłem z ks. Chylaszkiem od 1. do 15. maja 1904. r.

Z misyi, odprawionej w Ponta-Grossa, którą opisałem w ostatniem sprawozdaniu, wróciliśmy do domu na Thomaz-Coelho 25. kwietnia, a już 29. na wyraźne życzenie ks. biskupa Camargo da Barros wyjechaliśmy na Lucenę. Ani ja ani ks. Chylaszek nie byliśmy jeszcze w tych stronach, ale Lucena miała wyjątkowy urok dla nas. Jeszcze w Europie z opisów czytałem, że to kolonia najpiękniejsza wśród dziewiczych puszcz Brazylii, założona w 1890. r. na terytoryum, wydartem Botokudom, najdzikszemu plemieniu Indyan w południowej Ameryce — a już w Paranie słyszeliśmy raz po raz o cudnem położeniu tej kolonii, o napadach Indyan na kolonistów, o niesłychanej obfitości produktów rolnych i wielkim bogactwie najcenniejszego drzewa po lasach, o niesłychanem mnóstwie papug, dzikich indyków, tukanów, o małpach, które gromadami całemi napadają na pola kukurudzowe, o dzikich świniach, z któremi się często spotykają koloniści, o tapirach różnego gatunku, o kotach, a zwłaszcza o pumie i krwiożer-

czym jaguarze — jednem słowem, Lucena ma wszystko, co Europejczyka w Brazylii podziwem i grozą przejmuje.

Pełni otuchy wyjechaliśmy na tę zbożną pracę. Na kolej wsiedliśmy na poblizkiej stacyi Barigny; jest to ta sama linia, która łączy port Paranaguá z Ponta-Grossa; poboczna linia od stacyi Serrinha (czytaj Serinja) zwraca się ku Rio-Negro, skąd jeszcze 40 km. wozem na Lucenę.

Droga nasza prowadziła prawie wyłącznie przez stepy Parańskie. Jeden i tensam widok smutny i ponury zarazem, głuchy tylko step falisty, pokryty nizką trawą! Gdzieniegdzie kępa araukaryi (sosna brazylijska) i kilka krzaków, od czasu do czasu widniała jakaś biedna i nędzna chata brazylianina, lub stado koni i bydła uciekało spłoszone przed nadchodzącym pociągiem. Zresztą smutno wokoło; rzeki płyną ponuro w skalistem korycie, martwota wszędzie, w powietrzu tylko wysoko szybuje urubú, sęp amerykański, szukając padliny. Koło południa zajechaliśmy do miasta Lapa. Jestto jedna z najstarszych osad w Paranie. W r. 1806. za staraniem pułkownika José Vaz de Carvalho (czytaj Carvalio) i kapitana José de Andrade e Vasconcellos została policzona do rzędu miast. Miasteczko małe i brudne, czwartą część jego mieszkańców stanowią murzyni lub mulaci. Obok Lapy kolonia niemiecka i maleńka kolonia polska; w samem mieście jest garstka Polaków rzemieślników ze wszystkich zaborów, po domach brazylijskich trochę dziewcząt polskich i ruskich, które władają językiem portugalskim, jak rodowite Brazylianki. Przed sześciu laty zamordowano tu brazylijskiego księdza, młodziuchnego i sympatycznego proboszcza ks. Pinto. Jeden z oficerów przekupił mulata, który strzelił do księdza, wracającego raz późnym wieczorem do domu. Biedny zaczołgał się jeszcze do swego mieszkania, ale niebawem skonał. Nikomu się nic nie stało, sam sprawca zbrodni tego samego dnia wygadał się po pijanemu, ale nikt go nie aresztował, swobodnie buja do dzisiejszego dnia.

Stąd zdążaliśmy do ostatniej stacyi Rio-Negro. Jest to miasteczko schludne, większa część mieszkańców to Niemcy,

kupcy i rzemieślnicy. Domy malowniczo rozrzucone po pagórkach. Miasto leży nad rzeką tejże nazwy, przez którą prowadzi piękny, żelazny most. Stanął za staraniem gubernatora Dr. Franciszka Xavier (czytaj Szawier) da Silva. Rzeka Rio-Negro (rzeka czarna) ma 50 m. szerokości a most 110 m. długości i 8 m. szerokości, kosztował zaś 300.000 milrejsów. W samem mieście mieszka kilku tylko Polaków, między innymi lekarz Dr. Maciej Piechnik z Galicyi, poza miastem dwie maleńkie kolonie polskie i kolonia niemiecka, zwana Bukowina, bo ją zamieszkują Niemcy z Bukowiny. W okolicy Rio-Negro, a zwłaszcza w Lorenço, 6 km. od miasta, panuje stale trąd. Choroba to dość powszechna w całej Brazylii, w Paranie zaś gości w Lorenço i mieście Guarapuara. Nie wiadomo, skąd się wzięła, bo była w Brazylii nieznana. Przypuszczają, że ją przynieśli murzyni i wychodźcy z Portugalii, bo grasowała tam, jako też na wyspach Azorskich w XVI. wieku. W r. 1697. liczyło Rio-de-Janeiro 60.000 mieszkańców a trędowatych było 300. Trąd stał się plagą w Brazylii. Często bardzo spotyka się odosobnione domki, gdzie leży biedny chory, opuszczony przez wszystkich. Zdarzało się już nieraz, że ze wstydu nie wołano księdza z Rio-Negro do nieszczęśliwego chorego, bo całe ciało przedstawiało jedną tylko ranę, albo kawałkami poodpadało od kości.

W Rio-Negro dało się także odczuć trzęsienie ziemi 25. lutego 1898. r. — trwało kilka chwil. Wreszcie zasługuje Rio-Negro także z tego względu na uwagę, że mieszkali tu dłuższy czas w barakach Polacy, którzy mieli osiąść na kolonii Lucenie. — Smutne to bardzo wspomnienie, bo bardzo wielu kolonistów, jak niżej jeszcze o tem wspomnę, poumierało wprzód, nim osiedli na wyznaczonej kolonii.

Z Rio-Negro mieliśmy do celu jeszcze 40 km. wózkiem po drodze bardzo lichej i górzystej. Wyjechaliśmy wczas rano. Pogoda nam sprzyjała, furman i jeden z kolonistów, który się zabrał z nami, opowiadali nam o Lucenie, o trudach w pierwszych początkach, o napadach Indyan, że ludzie się bardzo zepsuli, księdza już wcale nie słuchają i radziby się

go pozbyć, zamiast być w niedzielę na nabożeństwie, cała kolonia siedzi w karczmie, wszyscy się upijają i rzadko kto tego samego dnia wraca do domu. Mimo tego cieszą się wszyscy na misyę i radziby nas zobaczyć jak najprędzej. Czas upływał nam przyjemnie, a tymczasem krajobraz zmienił się już zupełnie. Step przemienił się w lesistą okolicę, wzdłuż drogi las wprawdzie już wycięty, ale trochę dalej okiem nieprzejrzana puszcza. Od czasu do czasu spotykaliśmy tylko Brazylianina dobrze uzbrojonego, z Polaków prawie nikogo, bo nazajutrz niedziela i rozpoczęcie misyi, pozostał więc każdy w domu.

Na trzydziestym kilometrze rozpoczyna się kolonia Lucena — jest to jej pierwsza linia „Cabeça secca“ t. j. łysa głowa. Nazwa pewnie stąd pochodzi, że las po części wycięty, po części sterczą wysokie, suche sosny, od ognia zniszczone. Grunt jest lichy, nie nadaje się wcale pod uprawę kukurudzy, krajobraz smutny i ponury. Powychodzili z domów koloniści, by się przypatrzeć misyonarzom, którzy z Polski do nich przyjechali. Wszyscy witają nas serdecznie, twarze uśmiechnięte, wesołe i szczere, radość wielka dla nich a zarazem i dla nas, bo gdzie serce otwarte, tam dla biednego misyonarza rękojmia, że tem łatwiej przyjmie się słowo Boże.

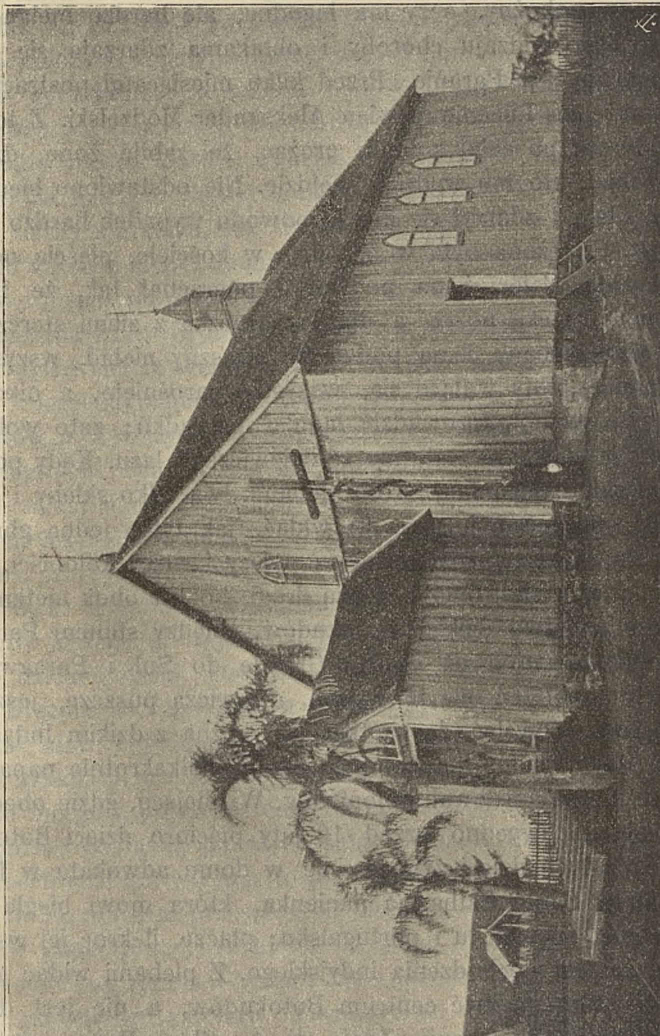
Linia „Cabeça secca“ łączy się z miasteczkiem Lucena. Ma ona kilka tylko domów, przeważnie sklepów; jest tu drewniana kaplica, cmentarz, szkoła rządowa i prywatna polska, apteka; mieszkają zaś razem obok siebie Polacy, Brazylianie, Niemcy i Włosi.

Do centrum kolonii Luceny, do kościoła i plebanii jest jeszcze 6 km. Już była godzina 2. po południu, jeść nam się chciało a pospieszyć trudno, bo droga licha i konie się już pomęczyły. Za to okolica coraz piękniejsza, we wszystkich kierunkach szły wycięte wśród lasów linie, a wszędzie tylko Polacy. Wśród swoich w obcym kraju zapomina się, że się jest na obczyźnie, spotkasz tam polski język i strój i polskie tylko zwyczaje, nie czuje się tęsknoty za krajem rodzinnym. Na wzgórzu widnieje zdaleka kościół polski jakoby twier-

dza, postawiona na straży wiary ojców, języka i zwyczajów polskich na ziemi brazylijskiej.

Przed plebanią czekał miejscowy ks. proboszcz N. N., człowiek poczciwy, wiekowy, ale dla osobliwego życia trochę dziwak i nielubiany przez parafian. Zaprowadził nas do kościoła — jest drewniany, dość duży, ale bardzo zaniedbany. Ołtarz wielki prowizoryczny, poboczny nowy, ale bez obrazu, wszędzie zamiast obrusów chusty kobiece, zamiast chorągwi także dwie chusty. Pochodzią one z pierwszych czasów. Ciężko było wybudować kościół, bo choć drzewa pod dostatkiem, ale nie było tartaków, nie było drogi — na plecach więc znosili koloniści deski i słupy, które u siebie obrobili i tak stanął kościół tam, gdzie niedawno jeszcze byli tylko dzicy Indyanie. Kiedy sobie zawiesili na ścianie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, tak wielka radość ogarnęła wszystkich, że już nie szczędzili żadnej ofiary na ten nowy a tak drogi przybytek Pański; kobiety poprzynosiły swoje chusty, to co miały najdroższego jeszcze z ziemi ojczystej. Miła to musiała być ofiara Panu Bogu i Najśw. Maryi Pannie, Królowej Polski!

Plebania także drewniana, mała, ale bardzo ładna; wygląda zupełnie jak domek szwajcarski. Na dole są 4, u góry 2 pokoje. Nie była jeszcze ukończona, choć budowę jej rozpoczęto przed ośmiu laty. Budował ją Rysiecki, cieśla z Królestwa, najzdolniejszy majster na całą okolicę. Ale biedny, czy z tęsknoty za krajem rodzinnym, czy z innego powodu, pozostaje od trzech lat pod wpływem halucynacyi. Tygodniami całymi nie pracuje, ale wszędzie po kolonii opowiada swoje wizye, krzyżem leży i do pokuty nawołuje. Początkowo otaczano go gromadnie, słuchając, jak opowiadał o znakach na słońcu i księżycu i jak Bóg niezadługo karać będzie Brazylianów, że w niedzielę do kościoła nie chodzą i inne przykazania gwałcą. W dzień naszego przyjazdu był także na plebanii, pracując nad jej wykończeniem. Gdy nas zobaczył, padł krzyżem na ziemię i zaczął nam opowiadać, jako widział wczoraj na księżycu a dziś na słońcu plamy i duży czarny



Kościół i plebania Ks. Ks. Misyonarzy w Lucenie.

krzyż nad kościołem. Zresztą jest to człowiek najpoczciwszy, uczynny, pobożny, oczy ma łagodne, ale bardzo melancholijne. Tego rodzaju choroby i obłąkania zdarzają się niejednokrotnie w Paranie. Przed kilku miesiącami postrachem był także na Lucenie pewien Aleksander Modzelski. Z toporem biegał po całej kolonii, grożąc, że zabije żonę, dzieci i każdego, kto mu w drogę wejdzie. Nie odstawiono biedaka do szpitala i zdarzył się z tego powodu wypadek bardzo tragiczny. Gdy żona była w niedzielę w kościele, pięścią pozabijał troje dzieci i na podwórku pogrzebał tak, że tylko jednego dziecka nóżka a drugiego rączka z ziemi sterczała.

Na plebanii i na podwórku straszny nieład, wszystko w ruinie: płoty walące się, wszystko zarośnięte, a nikomu nie było wolno zaprowadzić ładu i porządku; zato wokoło cudowny widok na całe morze dziewiczego lasu. Kędy popatrzeć, same tylko lasy. Koło plebanii dwa tylko sklepy i trzy domki, poza tem już nic nie widać, jak tylko jedną głuchą puszczę, w której rozrzuceni są polscy i ruscy koloniści. Tu wszelki ruch się kończy, ustają drogi, bo tuż obok nietknięte jeszcze państwo dzikich Botokudów, między stanem Paraná i Santa Catharina aż do Rio-Grande do Sul i Paragwaju. Strach popatrzeć na tę czarną, dziewiczą puszczę, jeszcze okropniej pomyśleć, że spotkać się można z dzikim Indyaninem, że napadną na kolonię, jak już kilkakrotnie napadali i okrutnie pomordowali kolonistów. W miejscu, gdzie obecnie kościół, pochwycono przed 16 laty pięcioro dzieci Botokudów i z tych dzieci żyje jeszcze w domu adwokata w Blumenau w Santa Catharina panienka, która mówi biegle po francusku, niemiecku i portugalsku; płacze, ilekroć jej wspomną, że jest pochodzenia indyjskiego. Z plebanii widać górę Tajol, która ma być centrum Botokudów, a nie jest dalej nad 10 mil od plebanii. Zdaje się, że nikt z Europejczyków nie był jeszcze na szczycie tej góry, to też najdziwaczniejsze krążą o niej opowieści. Wyprawa kilku Polaków z Kurityby z 10-ciu żołnierzami w ostatnich czasach na górę Tajol spełzła na niczem; doszli zaledwie do rzeki Itajahy (czytaj Itażai),

która odgranicza kolonię od ich terytoryum. — Obok kościoła jest cmentarz w cudnem położeniu, daleki i szeroki stąd także widok na poblizkie góry stanu Santa Catharina. Zrazu grzebali koloniści umarłych obok swoich domów, do dzisiejszego dnia spotyka się w kolonii mogiły w ogrodach osadników. Grobów na cmentarzu już bardzo wiele, na mogiłach są drewniane krzyże. Biedni! opuścili kraj rodzinny, by znaleść daleko za morzem ziemię i chleba poddostatkiem, lecz ledwo się ziściły marzenia, już trzeba było opuścić wszystko i spocząć w obcej ziemi. Jednych zgniotły drzewa przy spuszczaniu lasu, innych pozabijali Indyanie, lub wreszcie poumierali od ukąszenia żmij. Groby ich wykute w kamieniu, bo zwierzchu jest tylko cienka warstwa ziemi, a pod nią miękki piaskowiec.

Lucena miała z początku najgorsze warunki dla kolonistów i z wszystkich osadników w Paranie oni najwięcej wycierpieli. Prawie wszyscy spodziewali się, że Brazylia to raj na tej ziemi, tymczasem kosztowało ich dużo pracy, cierpień, łez i ofiar, nim się tu dorobili kawałka chleba. Do Luceny przybyli w 1891—92. roku. Pamiętną pozostanie jesień 1890. r. w północnych guberniach Królestwa. Chłop, który nigdy jeszcze nie słyszał o Brazylii, pełen zapału gotuje się do dalekiej drogi. Ostatnia to zima, która mu dokuczy, bo w Brazylii wieczne lato, a drzewa tyle ma każdy, ile zapragnie, złoto i dyamenty w rzekach, będzie panem, bogatszym od dziedzica, a choć nie znajdzie dyamentów, dostanie darmo 120 morgów pola, dostanie darmo narzędzia do uprawy roli i darmo odstawią go aż na samo miejsce. Pięć morgów własności, chałupa własna, to już szczęście do pozazdroszczenia, a tu za morzem przeszło 100 morgów i drugie i trzecie tyle przy pilnej pracy, to niebo na ziemi. I serce zatęskniło za tą obiecaną ziemią i tysiące ludzi już się odwrócić nie mogło od powziętego zamiaru. Trochę tylko niepokoiła ich podróż przez morze, ale i ta trudność znikła, bo zcicha sobie opowiadali, że już zaczynają budować żelazny most przez morze. Perswadowali księża, nic nie skutkowało, jedno tylko pragnienie było w sercu, ta jedna myśl: „do Brazylii“ wszystkich

owładnęła. Co mieli, posprzedawali, by mieć na podróż do Bremy lub Antwerpii, bo stamtąd już wszystko darmo. I po raz ostatni poszli do kościoła parafialnego, po raz ostatni pobłogosławił ich kapłan na polskiej ziemi krzyżem świętym. Przyjechali do Bremy; i tam jakiś polski kapłan odradzał i do powrotu skłaniał, płakały kobiety i dzieci, mężczyźni łzy ukryli, ale zapanowali nad wzruszeniem, wsiedli na okręt, choć serce zatęskniło za krajem rodzinnym, którego już nigdy oglądać nie mieli.

Na morzu wycierpieli bardzo wiele. Podróż morska zawsze przykra, zwłaszcza do Brazylii, bo prawie cały miesiąc jechać trzeba przez morze. Ciężko wśród wygód na okręcie, ale po prostu okropnie spędzić miesiąc cały w ciasnocie, w brudach i przy innych niewygodach. Poumierało wiele dzieci, wrzucano je do morza na pokarm dla ryb; zniechęcenie mimowoli ogarnęło wszystkich, ale „bo już nie długo“ pocieszali się, „nie długo“, a skończy się ta „krwawa przeprawa“, jak chłopi nazywali podróż morską. I skończyła się też. Wylądowali w Rio-de-Janeiro, osadzono kolonistów na wyspie ilha das flores (wyspa kwiatów). Trudności okropne, ciężko się porozumieć, pytano wychodźców, gdzie osiąść pragną, czy na plantacyach kawy w Sao (San) Paulo, czy w Paraná albo Santa Catharina. Wybierać trudno, bo oni o tych krajach pierwszy raz słyszeli, wybierali na oślep jedno lub drugie. Najnieszczęśliwsi, którzy osiedli w Rio-de-Janeiro lub innych miastach portowych, bo tych zabrała żółta febra, jeżeli zawczasu się gdzieindziej nie przenieśli; nieszczęśliwi byli i ci, którzy się udali na plantacye kawy do Sao Paulo, bo wpadli w niewolę i pracować musieli w tropikalnym klimacie, któremu się długo oprzeć nie potrafi nasz kolonista. Jeszcze najszczęśliwsi ci, którzy wybrali południowe stany: Paraná, Santa Catharina i Rio-Grande-do Sul. Do tych należeli i koloniści z Luceny. Rodziny ich znacznie się już pomniejszyły, wymarły prawie wszystkie dzieci na ilha das flores, a nim stanąć mieli u celu, śmierć miała zabrać więcej jeszcze ofiar.

Po dłuższej tułaczce przetransportowano osadników do Rio-Negro, o którem już wyżej wspomniałem. Około dwóch miesięcy mieszkali wychodźce w barakach w ciasnocie i niewygodach, dopóki nie odmierzono im gruntów na Lucenie. Na domiar nieszczęścia deszcz ulewny padał cały miesiąc, rzeka Rio-Negro wystąpiła z brzegów, pojawił się tyfus. Dzień po dniu wynoszono kilku umarłych na poblizki cmentarz, ręka Pańska ciężko zawisła nad nimi. Jedni z nich, lepsi i szlachetniejsi, zwrócili się do Boga, inni, słabsi na duchu, przeklinali Brazylię i oddali się rozpuście, obojętni już, czy żyć będą, czy zarazie ulegną. Był wśród nich jakiś Teofil Duglasiewicz, który później założył zakon na Lucenie; ten nawoływał do pokuty i upamiętania się. „Jako Bóg pokarał żydów wygnaniem i niewolą — wołał on — tak nas za grzechy ojców naszych zesłał do Brazylii“ — a słuchacze płakali i serca im się rwały do ukochanej, choć biednej ziemi polskiej. — Z Rio-Negro już nie daleko było na Lucenę. Wymierzono im po 25 hektarów dziewiczego lasu, każdy osiadł na wymierzonej sobie ziemi. Ciężkie to były chwile, dziwnie smutno i głucho w tej puszczy, wokoło nic jak tylko jeden ciemny i wilgotny las, a nad głową skrawek pogodnego nieba. — Wzięli się do roboty: siekiera po siekierze stępiała na twardem drzewie boru brazylijskiego, ale praca przyniosła obfite plony. Bogate zbiory żyta dodawały otuchy osadnikowi, bo już miał chleb, a miał go pod dostatkiem i dlatego wzniósł ręce i oczy ku niebu, dziękując Bogu, że nie zaginął, że wysłuchał kornej jego prośby: „chleba powszedniego daj nam dzisiaj“. Wybudowali sobie w centrum kolonii kościół, posłał im Bóg choć na krótki czas, kapłana polskiego, ks. Petersa, a oni w tym kościółku śpiewali jak na ziemi ojczystej pieśni do Matki Najśw. i kolędy na Boże Narodzenie i rozlegała się chwała Boża tu, gdzie nie dawno jeszcze żyły małpy i papugi się darły. Z biegiem czasu postawili sobie ładne domki z ogrodami, sprawili sobie wozy, postarali się o konie i krowy; trzoda chlewna dziwnie im się mnożyła, pod dostatkiem było w domu mięsa i słoniny. Wstawał kolonista i kładł się spać,

kiedy chciał, nikt go do pola nie wypędzał, był sobie panem, a jeżeli nabył i drugi i trzeci grunt, był równy dawniejszemu dziedzicowi; Brazylia stała mu się drugą ojczyzną i ziemią obiecaną. Ziemia ta prócz płodów tamtejszej strefy rodziła im kartofle, kapustę, ogórki, wyborne żyto, z Brazylianami mało co się stykali, było im więc jak na polskiej ziemi.

Nazajutrz po naszym przyjeździe, w niedzielę, miała się rozpocząć misya. Zaroiło się około kościoła, bo tylu ludzi się zgromadziło, iż wierzyć się nie chciało, żeśmy w Brazylii, ale gdzieś na odpuście w stronach rodzinnych. Wszyscy koloniści uradowani, żeśmy do nich przyjechali, porządni i czysto ubrani, zwłaszcza kobiety i dziewczęta, twarze rumiane i zdrowe, znać, że im tutejszy klimat służy. Widać już pewien dobrobyt, bo mnóstwo fur koło kościoła, a więcej jeszcze koni, gdyż konno jeździ tu każdy, kobiety i dziewczęta także konno przyjeżdżają do kościoła.

Sumę celebrował miejscowy ksiądz proboszcz, a ja powiedziałem kazanie wstępne. Kiedy im przypomniałem ciężkie czasy, które przebyli i kraj rodzinny, wszyscy rzewnie się rozpłakali. Ileż to już razy płakali oni w tym kościółku u stóp Matki Boskiej Częstochowskiej, która im tak żywo ziemię polską przypomina! To też wszyscy upadli na kolana i śpiewali: „Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża-Rodzicielko!“

Pod szczególniejszą opieką Matki Boskiej rozpoczynaliśmy tę świętą misyę, bo był to dzień pierwszego maja, poświęconego na całym świecie Maryi, ufaliśmy więc całem sercem, że nam wyprosi obfite błogosławieństwo na tę ciężką pracę. — Bo też ciężka czekała nas praca, Lucena pod względem życia religijnego smutny przedstawiała widok. Prawda, że niejedną kolonię widzieliśmy w Paranie w upadku, ale nigdzie nie było tak źle jak na Lucenie. Pijaństwo było tu okropne, wszyscy pili wódkę, starzy i młodzi, kobiety i dziewczęta, wódki dolewano do każdej potrawy. W jednym n. p. sklepie wychodziło tysiąc butelek wódki na tydzień, a sklepów na kolonii jest przeszło 20. W niedzielę i święta gromadzili się wprawdzie koło kościoła, ale na nabożeństwie

rzadko kto bywał, wszystko wysiadywało w poblizkiej karczmie i wszyscy się upijali, na pierwszem miejscu kobiety. Tego samego dnia zazwyczaj do domów nie wracali, pijani leżeli jeden obok drugiego na drodze lub pod krzakami. Co niedzielę bijatyki, krew się lała, nienawiści, kłótnie i ciągłe procesy stąd powstawały. Daleko i szeroko zasłynęła Lucena.

Co dom wyprawiano bale z muzyką, zgromadzała się młodzież zdaleka, a potem wracali nocą sami do domu, to też nie mogło być dobrze na kolonii.

Zresztą różne wykolejone indywidua z całej Parany gromadziły się na Lucenie; tu zbrodniarz był bezpieczny, w razie niebezpieczeństwa schronił się w dziewicze bory i wszelki ślad ginął za nim.

I księża skutecznego wpływu wywrzeć tu nie mogli, bo bywali tu zawyczaj krótki tylko czas. Było w kolonii kilku z gruntu zepsutych ludzi, bez wszelkiej czci i wiary, którzy księżom tak długo dokuczali, aż jeden po drugim opuszczał Lucenę. Przez dwa lata był tu księdzem jakiś Antoni P., bez święceń wszelkich, z zawodu organista, ten do reszty wszystkich pobałamucił.

Jednem słowem, wszystko się złożyło na to, że Lucena upadła nizko, czas już był najwyższy ratować tę nieszczęśliwą a tak piękną kolonię, tembardziej, że miejscowy kapłan stracił już wszelki wpływ na ludzi, nikt go nie słuchał, szukano tylko sposobu, by go się pozbyć co prędzej.

Misyę podzieliliśmy na dwa stany; cały tydzień poświęciliśmy każdej seryi. Zaczęliśmy od kobiet i dziewcząt. Dołożyliśmy wszystkich sił, by z pomocą Bożą odnowić wszystko, *restaurare omnia in Christo*. Wyłącznie sami tylko spowiadaliśmy: ja i ks. Chylaszek; ksiądz miejscowy mało co dopomagał, pracowaliśmy od wczesnego ranka aż późno w noc. Umęczeni byliśmy, to prawda, ale praca była bardzo miła, bo dziwnie skruszone były serca tych biednych ludzi, którzy z takiem zaufaniem przychodzili do nas. Widać, że nas pokochali i że chcieli nam uprzyjemnić ciężką pracę.

Wiedząc także, że nie najlepiej nam będzie na plebanii, zajęli się naszą kuchnią i tyle kur naznosili, że się od nich podwórko zaroiło. Już w pierwszym dniu misyi mieliśmy 50 kur, a ludzie sobie zcicha mówili: teraz nasi księża głodu cierpieć nie będą.

Tymczasem nastały zimne dnie, najzimniejsze, które pamiętam w Paranie. Lucena to jeden z najwyżej położonych punktów płaskowyżu Parańskiego, bo przeszło 5000 m. nad poziom morza; Kościół jest położony na wzgórzu, to też zimniej tu niż gdzieindziej w kolonii. Koło południa było już ciepło, ale rano bardzo chłodno; umarzliśmy tak jak na polskiej ziemi. Klimat wogóle na Lucenie bardzo do europejskiego zbliżony, noce w lecie są chłodne; pomarańcze rodzą się kwaśne, za to udają się nasze drzewa owocowe: jabłonie i grusze, którym gdzieindziej w Paranie klimat nie służy.

Na 8. maja zgromadziło się jeszcze więcej ludzi, bo św. Stanisław to patron tutejszego kościoła. — Koloniści z Luceny są przeważnie z Królestwa, około 50 rodzin jest z Bukowiny i to ze Sołońca, należą do najwzorowszych; nie mogli się nacieszyć obrazkami Matki Boskiej z Kaczyki, które im dałem. Wielu z Galicyi wspominało także naszego księdza Domaradzkiego, pokazywali nam krzyżyki, na które im włożył odpusty drogi krzyżowej, dopytywali się, czy jeszcze żyje, pragnęliby go jeszcze zobaczyć.

Na dwa ostatnie dni seryi mężczyzn przybył nam z pomocą O. Bazylianin, ks. Klemens Brzuchowski, który w tej parafii pracuje nad Rusinami. Młody i sympatyczny kapłan, pracowity i gorliwy, był mi później, gdym na stałe osiadł na Lucenie, miłym sąsiadem i szczera nas łączyła przyjaźń.

Wyspowiadaliśmy około 2000 ludzi. Przychodzili także Brazylianie do spowiedzi św., bardzo nas prosili, by przyjechać do ich kościółka i kazanie im powiedzieć, ale czas nam na to nie pozwolił.

Misye ukończyliśmy 15. maja postawieniem dużego krzyża misyjnego, prosząc Boga, by kolonistom był pociechą, błogosławieństwem i znakiem wytrwałości aż do końca.

Kolonia się oblekła na nowo w ducha Bożego, wódki z małym wyjątkiem wyrzekli się wszyscy, nastał w całej okolicy spokój, zakwitło na nowo szczęście w poszczególnych rodzinach, pokój i zgoda z sąsiadami. Urazy darowali sobie nawzajem, nieprzyjaciele stali się serdecznymi przyjaciółmi. Kłopot był tylko nie mały z pewnym kolonistą. Uchodził w całej okolicy za bardzo mocnego czarownika. Zdechła krowa, padł koń, zachorował kto, przyczyną wszystkiego był zawsze ten biedak. Przyszło kilku jego sąsiadów do nas i w jego obecności wyrzucali mu jego moc czarodziejską. Biedny zaklinał się na wszystkie świętości, że o niczem nie wie, ale to nic nie skutkowało, pozostał czarownikiem, bo widzieli i są ślady, jak dziegciem diabelskim smarował płoty u sąsiadów i wkrótce wszystko bydło wyzdychało.

Misye ukończyliśmy, ale odjechać z Luceny nie było nam łatwo. W ostatnim bowiem tygodniu przyszła do nas deputacya, złożona z najpoważniejszych kolonistów, prosząc na wszystko, by jeden z nas został na Lucenie. Już dawniej obiecał im ks. biskup Camargo da Barros Ks. Ks. Misyonarzy, miesiące całe upłynęły, a niczego się nie doczekali. „Już teraz księży nie puścimy — mówili nam — tego pragniemy i życzy sobie cała kolonia. Jeżeli księża dobrowolnie nie zostaną, zatrzymamy przemocą, chleba u nas dla księży nie zabraknie, a ks. proboszcza stąd wywieziemy“.

Zanosiło się na awanturę, biednego księdza wywieść chcieli w nocy na stacyę kolejową.

Przyrzekliśmy więc, że wkrótce przyjedzie jeden z nas na stałe, bo sprawa objęcia Luceny była już w toku, a O. Generał chętnie się na to zgadzał. Na szczęście księdza proboszcza odwołał konsystorz z obietnicą, że wkrótce Ks. Ks. Misyonarze obejmą parafię i to uspokoiło kolonię. Z misyi pozostało nam jeszcze przeszło 40 kur, które nam zachowano aż do naszego powrotu.

W sam dzień odjazdu przyniosła mi kobieta, pochodząca z Galicyi, piękne korale, by je zawiesić u jakiegoś obrazu w kościele. Biedna matka! miała trzy córki; jedna

liczyła 21, druga 19 a trzecia 15 lat; na samym początku osiedlenia się w Lucenie, w pewną niedzielę, kiedy ludzie poszli do kościoła, dzicy Botokudzi wszystkie pozabijali. Dwie z nich okrutnie pomordowano, a wszystkie obdarto z odzieży. Tego samego dnia pozabijali Indyanie około 20 ludzi, ocalał rusin Marcin Martyniak, który uciekał z dzieckiem na ręku. Dwóch nagich Indyan zaskoczyło mu drogę ze srogim krzykiem „ału!“ Jeden z nich maczugą zabił mu dziecko na ręku, sam pamięta tyle tylko — sam mi to opowiadał — jak drugi buławę na niego podniósł. Po trzech dniach dopiero znaleziono go nieprzytomnego jeszcze w krzakach, ranę toczyło już robactwo. Szeroka blizna pozostała mu wzdłuż skroni.

Najpierw padła ofiarą dzikich Indyan rodzina Przybylskich. Raz po raz zjawiali się Botokudzi koło chaty i w nocy pukali w drzwi i okna. Chcieli widocznie dać do zrozumienia, żeby się stąd wynieść, ale nikt się tego nie domyślił. W pewien dzień po południu, gdy ojciec z synem był w lesie a matka z trojgiem dzieci w domu pozostała, Indyanie w dwóch gromadach wymordowali całą rodzinę i okrutnie się znęcali nad ofiarami. Ojciec i matka byli okropnie pokaleczeni, głowy rozbite, ręce i nogi odcięte, całe ciało poszarpane, a w boku matki była wetknięta strzała na znak zupełnego tryumfu! Stało się to $3^1/_2$ km. od kościoła w miejscu, kędy sam bardzo często przejeżdzałem. Dzień powrotu na kolonię Thomaz-Coelho był bardzo słotny, droga się zupełnie zepsuła, z biedą tylko już wieczorem zajechaliśmy do stacyi w Rio-Negro. Ale tak Bóg to cudownie w dobroci Swojej zrządził, jakiś bowiem złośliwy człowiek puścił oszczerczą pogłoskę między Brazylianów, że ich z ambony przezywałem w sposób ubliżający. Oburzyło to, i słusznie, Brazylianów, zgromadziła się garstka i czekali na nas przy moście w Rio-Negro, żeby nas obić, gdy wracać będziemy, ale kiedy nas widać nie było, w przekonaniu, że z powodu słoty na Lucenie zostaliśmy, rozeszli się do domu, dopiero później dowiedzieliśmy się o wszystkiem. Tak Bóg ustrzegł nas od złego i dozwolił szczęśliwie powrócić do domu. *Ks. Hugo Dylla.*

Sprawozdanie z misyi, danych w r. 1904. w Galicyi Zachodniej przez Ks. Ks. Misyonarzy z Kleparza.

Wiosna — trzy misye w krakowskiej dyecezyi.

Po świętach tylko tydzień przesiedzieliśmy w Krakowie, życząc sobie wesołego Alleluja, dzieląc się jajkiem wielkanocnem. W sobotę przewodnią znowu ruszyliśmy na pracę w dyecezyi krakowskiej, podejmując renowacye w tych samych parafiach, któreśmy gruntownie obrobili pod jesień 1895 r. O wszystkich trzech tych misyach podały wspomnienie nasze „*Roczniki*“ w tomie II. str. 19. i następne.

Bestwina. Do Dziedzic przybyliśmy koleją, a stamtąd na miejsce wózkami ks. ks. Szymbor, Steinsdorfer i niżej podpisany. Ciekawa jednak ta Bestwina! Kiedyśmy tu poprzednio na misyę zjeżdżali, z tego co ludzie mówili, zdało nam się, że na jakieś zagraniczne misye jedziemy do ludzi dzikich, bez czci i wiary — bezbożników; tymczasem napotkaliśmy tu i wiarę głęboką i pobożność żywą — lud taki, że nim się można było delektować; teraz myśleliśmy, że znajdziemy ogień miłości Bożej, może nieco popiołem przykryty, że wystarczy podmuchać, a on się na nowo rozpali, a tu znajdujemy przewrotność, bezbożność, ateuszowskie serca i duchy, jak żydzi, co szukali ognia ofiarnego, a błoto znaleźli. Jaka to zmiana w kilku latach! Przezacny pasterz śp. ks. Wajda, widząc, na co się zanosi, zmarł ze strapienia; przyszedł gorliwy, uczony, świątobliwy, a nasz kochany dawny pedagog, ks. kan. Fleischer; pracuje niezmordowanie, jednak niesforności ludu podołać nie może. Ktoby chciał ocenić przewrotną robotę ks. Stojałowskiego, to mu wystarczy porównać Bestwinę, jaką była, nim ten polityk tu zawitał, a jaką jest teraz, gdy posiew jego wzrósł i owoc uczynił. Nim samym lud

wzgardził, zato najgoręcej chwycił się ludowców i socyalistów. Kiedy w Poście odprawiały się po sąsiednich parafiach misye, tutejsi parafianie burzyli sąsiadów, żeby na misye nie szli; to samo, kiedyśmy mieli przybyć, buntowali się wzajemnie. Nad wszelkie jednak spodziewanie zebrało się wiernych dostatecznie i misyę lubo z małemi niedogodnościami zdołaliśmy dosyć spokojnie odbyć. Pracę rozłożywszy na dwie serye, mieliśmy kobiet i dziewcząt 1400, a mężczyzn i chłopców 1000. Na tamtej misyi było wszystkich 2700, więc o 300 różnicy, którą to nadwyżkę zapewne stanowili przybysze z innych parafii: Hałcnowa, Komorowic ze Śląska, których teraz nie było, bo świeże u siebie misye mieli. Znalazło się jednak i takich upartych, którzy wcale udziału nie wzięli. Jawnogrzesznik zaraz jeden — zpod kościoła — aż zachorował z przerażenia, że znowu w Bestwinie misya, a sam mówił ludziom, że wyzdrowieje, tylko te „czarne kruki“ odjadą. Drugi znowu, poseł, przychodził wprawdzie na nauki jak na rozprawy parlamentarne, ale do spowiedzi nie chciał przystąpić. Posłyszawszy nieraz słowa prawdy, już i na nauki przestał chodzić. Był tu poprzednio taki mądrala Maciej Borgieł, młynarz, wyszedł on na swojej polityce tak, że mu pytle zlicytowali, zeszedł na dziada. Dał sobie Pan Bóg radę z Antyochem, Bismarkiem, Herodem, to i tych śmiałków upokorzyć potrafi, choćby dlatego samego, żeby się dobrzy od nich nie psuli. Już i sam ten sławetny poseł któremu mandat do cna w głowie zawrócił, chodzi wzgardzony od wszystkich, wyśmiany nie jak poseł, ale jak niemądry...

Nie mogąc z nami dojść końca w kościele ani na jakim słówku podchwycić, przyszedł z dwoma pomocnikami na plebanię się ujadać. Naplótł i tu koszałek opałek, frazesów, których się widać z gazet nauczył na pamięć — i z niczem poszedł. W samą uroczystość Przeniesienia Relikwii św. Wincentego odprawiliśmy tu wspaniałą konkluzyę, a zaraz na nieszpory wyjechaliśmy do następnej parafii, by tam drugą pracę podjąć.

Dankowice. — Sławne te Dankowice i już poraz drugi o nich mam pisać. Kiedyśmy tu poprzednio pracowali, był tu pasterzem ks. Kruszyński, szlachcic, rodem z Królestwa, wychowanek tarnowskiego seminaryum, zasad oryginalnych. Dowcipy jego opowiadałem nieraz konfratrom, nie myślę ich tu powtarzać; może i lepiej będzie zostawić je ustnej tradycyi. Swoją drogą nie było obiadu, ani kolacyi, żebyśmy sobie o nim nie wspominali. On to takiej sławy nadał Dankowicom. Pod koniec swego pasterzowania spalił mu się kościół raz; potem urządzono z desek prowizoryczną budę, żeby tam nabożeństwa odprawiać — i to się spaliło. Tak tedy staruszek z parafii zrezygnował, a w jego miejsce przyszedł do Dankowic ks. Władysław Syc, dawny wychowanek N. ks. Wizytatora. Nauka w las nie poszła — zacny to, gorliwy kapłan, dzielny proboszcz. W krótkim czasie wystawił on wspaniały, gotycki kościół i urządził go kompletnie. Poprzednio zastaliśmy tu lud zuchwały, wrogo dla Kościoła i księdza usposobiony, bo staruszek trzymał się zasady: Panie, od chłopa z daleka, panie; ja szlachcic, a on chłop! jakby się tylko z nim wdawać, to do sądu gotów skarżyć, panie!... Teraz w kilku latach zmieniła się parafia nie do poznania, a wszystko dzięki niezmordowanej pracy ks. Syca. Umieli to odczuć i wdzięczni parafianie, uznała też i władza. Niedawno w tymże arcyksiążęcym patronacie zawakowała ogromna parafia Jeleśnia za Żywcem — on na to probostwo otrzymał prezentę; jeszcze kiedyśmy w tych stronach pracowali, pojechał na instytucyę do Krakowa, a kiedyśmy w czerwcu towarzyszyli N. ks. biskupowi Nowakowi w czasie wizyty kanonicznej w dekanacie żywieckim, sam ks. biskup instalował go w Jeleśni. Na tym gorliwym kapłanie sprawdziły się słowa ewangeliczne: „sługo dobry i wierny, byłeś w małem wiernym, nad wielą cię postanowię". (Matth. XXV.). Praca taka ustawiczna gorliwego pasterza więcej zrobi dobrego niż misya. Z dawnej naszej pracy w Dankowicach byłby chyba tylko krzyż misyjny świadczył, żeśmy tu byli, gdyby owoców misyi nie był ten gorliwy pro-

boszcz podtrzymał. Pracowaliśmy tu obecnie od 17. do 21. kwietnia; wyspowiadało się w tym czasie przy pomocy zacnych sąsiadów, zwłaszcza ks. Głąbińskiego ze Starej Wsi 750 osób. Ślubowanie tu i w całym dekanacie szło bardzo tępo. Taki przykład dali Wilamowianie, gdzie podobno dwoje tylko ślubowało, a jeżdżąc potem po całej okolicy buntowali ludzi, że u nich nie ślubowali, a i tak było. Odbierali od nas cięgi za te buntowania, ale nie można było ich się wyzbyć; wszędzie się cisnęli ze swymi kramami.

Jawiszowice. Tu prawie wszystko po staremu. Proboszcz dawny, śp. ks. Dubowski, pomarł, a na jego miejsce nastał ks. Jan Satke, bardzo roztropny i gorliwy kapłan. Z dawnych gazeciarzy jeden niepoprawny precz jeszcze bałamuci; podobno i mnie chciał wsławić, podając mnie do gazetki, ale się rozmyślił — i dał spokój. Reszta wiernie Boga i Kościoła się trzyma. Od 21. do 25. kwietnia wyspowiadało się 850 osób. Pomagali tu ci sami, co i w Dankowicach, sąsiedzi, a gdy kratek brakło, korzystaliśmy z drucianego płotu i takiejże bramy, przy których kilku księży wygodnie słuchać mogło.

Odprawiliśmy jeszcze przepisaną na św. Marka procesyę, szkoda, że gardła pochrypły, boby dzielnie były poszły nasze polskie „suffragia“, jakby się do nich tyle kapłaństwa wzięło; po południu wspaniale przez Jawiszowian banderyami i strzałami żegnani, przybyliśmy na stacyę kolejową, skąd, nie mogąc się pokusie oprzeć, wstąpiliśmy do Oświęcimia, żeby odwiedzić rezydującego tu obecnie ks. Kruszyńskiego, o którym przy Dankowicach była wzmianka, i zakład OO. Salezyanów, z których obecnie Oświęcim słynie. Niewiele mając do dyspozycyi czasu, bo tylko od jednego pociągu do drugiego, zaczęliśmy wizyty robić. Zakład i kościół parafialny obejrzeliśmy naprzód, a potem u ks. Kruszyńskiego „szlacheckie“ przyjęcie. Ucieszył się staruszek, że o nim Misyonarze pamiętają, dopytywał się o tych, co u niego na misyi byli: o ks. Buchhorna, co go ta gdzieś między Rusinów czy Kozaków posłali, o ks. Krzyszkowskiego, a specyalnie o ks. Kamińskiego, panie, bo to męczennik, patryota.

Na końcu prosił nas wszystkich na sekundycye za 4 lata. — Wracając do Krakowa, w drodze spotkaliśmy pociąg wiozący polskich pielgrzymów na jubileusz maryański do Rzymu.

Dwie misye w tarnowskiej dyecezyi.

Zakliczyn. W środę przed Wniebowstąpieniem Pańskiem wypadło nam znowu wyruszyć na poważną pracę i to prawie znienacka. Kiedyśmy kończyli misye w bialskim dekanacie, już dobrze zeszarpani, bo od Nowego Roku prawie ustawicznie byliśmy w ruchu w domu i poza domem, nadchodziły z Krakowa listy, że jeszcze księża z tarnowskiej dyecezyi wzywają nas do pracy i to niezwłocznie, bo Najprzew. ks. biskup Wałęga zapowiedział z początkiem czerwca wizytę kanoniczną dekanatu czchowskiego, a misye mają uprzedzić przybycie Arcypasterza i lud na przyjęcie łask Bożych przygotować. Dotąd nikomuśmy nie odmówili, trzeba więc było i obecnie starej tradycyi dotrzymać. W Krakowie wypoczywał jeszcze po misyi w Dobrej śp. nasz Senior ks. Kamiński, a gdyśmy z Dankowic wrócili i nieco wytchnęli, ułożyło się sprawy tak, że znowu nasza czwórka stanęła w komplecie; nieboszczyk staruszek sam niestrudzony, jeszcze nam odwagi dodawał, może i nie przypuszczając, że to będzie ostatni jego wyjazd.

W tych stronach jeszcześmy nigdy nie byli. Praojcowie nasi, konfratrzy ze Stradomia, dali tu misyę jeszcze w roku 1698.; zaczęli na Wszystkich Świętych, pracowali przez 4 tygodnie, rozdali około 2000 komunii św.; byli tu ks. ks. Fabri, Siedlecki i Rostkowski i kleryk Bocheński do katechizowania. Pomimo ustawicznych deszczów i śniegów tudzież napadów żołnierzy lud wiernie na misyę chodził, dwór bogobojny świecił przykładem. Taką wzmiankę o Zakliczynie w starych naszych zapiskach napotykamy. Inne znowu notatki podają, że w XVI. wieku mieli tu socynianie swój centralny zbór, szkołę i drukarnię, w Lusławicach obok Zakliczyna zmarł w r. 1604. Faustyn Socyn i tu jego popioły spoczywają. Akacy hr. Taszycki, z początku najzagorzalszy

zwolennik i protektor sekciarzy, całemi gromadami zbierał młodzież z okolicy, żadnych nie szczędząc, żeby tylko w jak najwięcej serc jad herezyi wszczepić, potem sam się nawrócił, wyrzekł się błędów i budynki swoje podarował OO. Reformatom, którzy przez Zygmunta z Czekarzowic herbu Topor i Barbarę z Sulejów Sobkównę, dziedziców na Zakliczynie, Tyczynie i Melsztynie sprowadzeni w r. 1621., pierwszy tu na ziemi polskiej otworzyli klasztor i zwalczaniem heretyków gorliwie się zajmowali. Przez 30 lat mieszkali w drewnianym klasztorku, dopóki im Zygmunt Aleksander Tarło, kasztelan przemyski i małżonka jego Elżbieta Stemberg, wywodząca swój ród z familii św. Stanisława Kostki, nie wybudowali obecnego kościoła i klasztoru murowanego. W tym to kościele złożono zwłoki nawróconego Akacego hr. Taszyckiego tudzież wspomnianego fundatora, Zygmunta Aleksandra Tarły. Temu ostatniemu pozostała małżonka wystawiła marmurowy pomnik, a na nim alabastrową statuę. W roku 1846., który się tu w okolicy krwawo zaznaczył, wpadli chłopi do kościoła i drągami nogi u tego posągu poobijali; naprawił je dopiero w r. 1892. Karol hr. Lanckoroński.

Myśmy stanęli na miejscu około południa dnia 11. maja; pogoda dosyć sprzyjała, to i można było w wolnych chwilach po południu rozejrzeć się po okolicy jak rzadko gdzie ślicznej. A patrząc to na wznoszący się wspaniale nad Dunajcem Melsztyn, to na liczne lasy i gaiki, górki i wzgórza, tak pięknie w majową szatę ubrane, myśleliśmy sobie: oby — oby dusze tak piękne znaleźć jak ta okolica! Niestety już na wstępie dochodziły nas o tutejszych parafianach nie bardzo pocieszające wieści. Dziwna jakaś ta ziemia, od wieków herezyą przesiąkła, dotąd herezyą cuchnie. Wygaśli dziś jawni heretycy-aryanie, socynianie, co tu przed wiekami wojowali, to znowu nowoczesna nauka krzykaczy przewrotnych zajęła na dobre niektóre płytkie umysły, a stąd dalej zaczęła się do wiosek wciskać. Był tu nowy Socyn XX. wieku, herszt i adwokat ludowców na całą okolicę, sam drwił jawnie z listów pasterskich ks. biskupa Wałęgi, a jego żona paszkwile

na Arcypasterza pisała. Do niego jak do cudownego rabina zbiegali się po rady i wskazówki wichrzyciele z całej okolicy. Miał przy sobie kilku partnerów, może jeszcze bardziej niż on sam przewrotnych, wyrafinowanych finesów. Pijaństwo od dawnych lat zakorzenione tu straszliwie, czego miarą może być i ta okoliczność, że żyd propinator w rynku dziennie 28 kor. podatku płaci, a dochody liczyli mu tak, że lichy był jarmark, jeżeli na nim tylko 1000 kor. utargował. Niemoralność, która zwykle pijaństwu towarzyszy, również tu przerażająca; do tego doszło, że chłopaki, po 20—21 lat mający, jawnie w niegodziwych związkach żyli. Bieda, nędza ostateczna, zwłaszcza w miasteczku samem, bo niewiele mają, a co mają, to przepiją, przytem buta, hardość u nich niesłychana. Mieszczki przychodziły do kościoła w rękawiczkach, z których jednak wszystkie palce im wyglądały. Ubrania niby starodawne jakieś noszą i chwalą się, że to jeszcze gdzieś z polskich czasów zabytek. Kto wie, ile pokoleń one już obsłużyły, bo rzeczywiście starożytności na sobie wszelkie cechy noszą. Taki to naród zastaliśmy w kościele dnia 12. maja w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, rozpoczynając w Zakliczenie misyę. Parafia liczy według ostatniego schematyzmu 8300 dusz. Wypadło zatem misyę na 4 stany rozłożyć. Samych kobiet zebrało się 1600, dziewcząt 950, chłopców 750 a mężczyzn 1200 — i tak szły serye jedna po drugiej. Przynajmniej nas cieszyło, że słuchali i przychodzili na nauki z ciekawością. W czasie misyi trafiły Zielone Świątki, prócz tego w niedzielę, jak przyszła na sumę cała parafia, to się nie mogli w kościele zmieścić i trzeba było na cmentarzu do nich przemawiać. Prócz tutejszych parafian zaglądali też niektórzy ze sąsiednich parafii, zwłaszcza z Olszyn dawne owieczki ks. dziekana Sołtysa, obecnie tutejszego proboszcza, którego tam odżałować nie mogą. Przez całą misyę śliczna pogoda sprzyjała, co wiele ułatwiało pracę, bo można było wygodnie na cmentarzu koło kościoła spowiadać a i lud tutejszy do pochodów, procesyi ciekawy, kompaniami ze śpiewem mógł do kościoła przychodzić i tak

samo wieczorem rozchodzić się do domów. Nie trzeba było na nich czekać. Zaszło się do kościoła rano — niby ludzi niema, a jak tylko te kompanie nadciągły, zapełnił się cały kościół na poczekaniu. Przychodzili też i ci, którym może najwięcej było misyi potrzeba: biedni ludowcy. Niektórzy lepszej woli, chwilowo przez zagorzałych wichrzycieli zbałamuceni, dali sobie wyperswadować, porzucili przewrotne piśmidła, pojednali się szczerze z Bogiem; inni, uparci, przyszli tylko po to, żeby zademonstrować, że oni nie tacy źli, jak ich ludzie okrzyczeli.

Jeżeli gdzie, to tu misya nasza podobna była do pracy żydów, kiedy z niewoli wrócili i chcieli Jerozolimę odbudować: jedną ręką budowali, drugą odpędzali nieprzyjaciół. Tu, skoro prawie cała parafia dała posłuch naszemu nawoływaniu, trzeba było podsuwać im środki wytrwania a przed nieprzyjaciółmi przestrzegać. Łączą się nieprzyjaciele w kółka, stowarzyszenia, by tem skuteczniej dzieło spustoszenia prowadzić, niechże i nasi tak sobie radzą, pomagają w dobrym kierunku. Polecaliśmy im kółka Żywego Różańca. Wszystkim wioskom się to spodobało i licznie się do Róż wszystkie stany garnęły z wyjątkiem jednej czy dwu wiosek, gdzie jeszcze duch Socyna i jego spadkobierców wieje. Wyśmiali się z tego, w *Przyjacielu* swoim ogłosili, że Misyonarze pobożne podatki nakładają. Dalej wiele w parafii złego robiły złe gazetki a naród do czytania zapalony; polecaliśmy im znowu, żeby czytali, ale rzeczy pożyteczne a na samem czele książki takie, z których naukę P. Jezusa mogą lepiej poznać i wyrozumieć n. p. *Wykład* ks. Gawrońskiego. Każda Róża wzięła sobie po jednym egzemplarzu, obiecali się schodzić w niedziele i święta, zwłaszcza po południu do czytania tej książki, a potem i o inne podobne się postarać i tak powoli rozjaśniać ciemności w nauce religii, które jeszcze u nich są przerażające. Religię znają tu po większej części, zwłaszcza starsi, tylko z obchodów, procesyi i odpustów. Kawiarki tutejsze — a jest ich cała kompania — jakby cech, na pamięć znają wszystkie w okolicy odpusty, bo na nie ze swoimi

samowarkami chodzą i z tego przeważnie żyją. Do nabożeństwa lud wogóle dosyć tępy; wielu ze wsi nawet przez całe miesiące do kościoła nie chodziło; a znowu wielu takich, że się wybrali do kościoła, ale jak zaczęli radzić na rynku z innymi, tak i przeradzili całe nabożeństwo, a potem poszli do propinacyi zeschłe gardła zwilżyć. Na to radziliśmy im, by i po misyi kompaniami do kościoła, zwłaszcza wiosenną, letnią i jesienną porą chodzili, to jeden drugiego pociągnie, a pokusa wstąpienia do propinatora, starego przyjaciela, odleci. I to im się spodobało; kiedyśmy mieli krzyż misyjny stawiać, już mi pokazywali jeden krzyż do procesyi, który sobie jedna z gmin tutejszych sprawiła, żeby z nim do kościoła chodzić i z kościoła wracać. Nie wiem, czy się to utrzymało. Ten ostatni interes bardzo się nie podobał Ickowi z propinacyi. Przyszedł jarmark pierwszy po misyi, ledwo 80 kor. utargował i to od obcych, bo tutejsi wszyscy prawie ślubowali, a potem jeden drugiego pilnował. Wpadł też na ciekawy pomysł ten Icek. Na propinacyi miał szyld już stary, niewyraźny; po misyi kazał deskę pomalować na czarno a na tem tle złotemi literami wypisać „Propinacya“, żeby o starym przyjacielu nie zapominali. Coś tu radzono jeszcze o kółku rolniczem, o katolickiej rzeźni, czytelni, ale chyba takim sprawom misya sama nie da rady; na to trzeba pracy w miejscu i agitacyi. Wiele dobrej woli okazali Zakliczynianie. Były wypadki, że kiedy poszczególne stany zbierały się w kościele na swoje nauki, a zauważono, że kogo brak, chodzili za nim, ściągali, by przyszedł do kompletu. Po misyi jakiś obcy parobczak wstąpił do propinacyi, znaleźli się tacy, którzy go czemprędzej stamtąd wyciągali i prosili, żeby im wstydu nie robił. „Obcy będą pić — mówili — a potem na nas hańba spadnie“. Zakończyliśmy tę misyę dnia 28. maja, poczem przeprawiliśmy się do sąsiedniej Paleśnicy, by tam jeszcze tegoż dnia po południu nową zacząć pracę. *Ks. Józej Sokołowicz.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z działalności Ks. Ks. Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia w Macedonii.

Jak niezmiernie trudnem jest odzyskanie schizmatyckich odszczepieńców dla Kościoła katolickiego, wykazuje historya zabiegów, podejmowanych celem zawiązania unii z Bułgarami. Przedstawia ona pasmo złotych nadziei i gorzkich rozczarowań. Kiedy koło roku 1860. przyszło do rozdziału między Bułgarami i grecko-ortodoksyjnym patryarchatem w Konstantynopolu, spodziewano się powszechnego powrotu Bułgarów do Kościoła. Zgłosiło się istotnie do unii 60.000 schismatyków, lecz niebawem nastąpiła reakcya. Pierwszym wikaryuszem apostolskim Bułgarów, którzy wrócili do unii, został Msgr. Sokolski, wyświęcony osobiście przez pap. Piusa IX. Dostojnik ten kościelny, zwabiony dźwiękiem rosyjskiego srebra, odpadł od unii i pociągnął za sobą wielką cześć swoich owieczek. W roku 1872. powstał osobny bułgarski egzarchat, który w miejsce greckiego patryarchy objął narodowe i kościelne kierownictwo Bułgarów; fakt ten rozwiał do reszty nadzieje powszechnej unii. Mimo to w r. 1883. ustanowiono w Macedonii i Turcyi dwa wikaryaty apostolskie z resztek, które z powszechnego rozbicia ocalały dla Kościoła dzięki zabiegom Msgra Popofa, popartym pracą Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy i Asumpcyonistów. Przypatrzmy się nasamprzód rozwojowi misyi w Macedonii. Nieszczęściem dla niej był fakt, że pierwszy wikaryusz apostolski okazał się niegodnym swego urzędu, siejąc zgorszenie wśród owieczek. Do tego dołączyły się podziemna, krecia praca Rosyi i fanatyczne prześladowanie ze strony zwolenników egzarchatu. Zarówno lud jak i kler tłumnie porzucali unię tak, iż z 30.000 tylko 3.000 zostały wiernymi Kościołowi. Dopiero od roku

1895., za rządów teraźniejszego wikaryusza apostolskiego Szanofa, polepszył się stan rzeczy, choć go bynajmniej nie można nazwać świetnym. Wikaryat liczy dzisiaj zaledwie 10.000 katolików, zamieszkujących 20 miejscowości, posiada 16 kościołów, 1 seminaryum duchowne, 1 szkołę normalną, 13 szkółek męskich, 9 żeńskich, kilka przytulisk dla sierót i dobroczynnych zakładów.

Krajowy kler bułgarski składa się z 30 kapłanów, których większość, pochodząc ze starej szkoły, żyje w związkach małżeńskich i posiada mierne wykształcenie. Do tego trzeba dodać założoną w roku 1889., miejscową kongregacyę Sióstr od Najświętszego Sakramentu, które w liczbie 18 kierują szkołami i przytuliskami dla sierót w Paliortsi, Gheogheli, Bozdontsi.

Najobszerniejszą działalność rozwinęło tutaj Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia. Głównym punktem oparcia dla synów św. Wincentego jest założone w roku 1885. seminaryum duchowne w Zeitenlik pod Saloniką. Dla podniesienia i utrzymania przy Kościele katolickim biednego i ciemnego ludu koniecznem jest wychowanie lepszego kleru, któryby moralnością i wykształceniem górował nad schizmatyckimi popami. Ze seminaryum wiąże się zakład dla chłopców, gdzie przyszli alumni otrzymują od Ks. Ks. Misyonarzy kilkoletnie staranne wychowanie. Smutne doświadczenia lat poprzednich nakazywały ostrożność i roztropny wybór; stąd też wielkie seminaryum liczyło w roku 1904. tylko 8 alumnów, małe 40 wychowanków. W roku 1900. wyświęcono pierwszych kapłanów, zobowiązanych do zachowania celibatu. Ponieważ tu celibat jest nowością a świeży kontyngens w razie odosobnienia zawikłałby się w trudności, osadzono nowo wyświęconych kapłanów tylko w takich miejscowościach, w których Ks. Ks. Misyonarze posiadają swe domy. Zastęp ten młodych kapłanów prawie wyłącznie uczy w szkołach, zajmując się pracą duszpasterską tylko wyjątkowo i zostaje ciągle pod nadzorem Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy. Stała ich pensya wynosi rocznie 160 fran-

ków, dochodzi jednak po wliczeniu stypendyów mszalnych do 500 franków. Stan finansowy tych księży jest w każdym razie pomyślniejszy aniżeli starego kleru parafialnego, który często żyje w opłakanej nędzy; jedynym jego dochodem są stypendya mszalne, dostarczane mu przez Ks. Ks. Misyonarzy. Wielkiem dobrodziejstwem dla tego biednego duchowieństwa są rekolekcye, odbywające się rokrocznie w Zeitenlik. Koszta utrzymania i wydatki podróży ponosi Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy. Od kilku dopiero lat osiedli Misyonarze w miejscowościach, położonych w głębi kraju, jak w Kukusz, Gheogheli i Enidje, gdzie uczą w szkołach, zajmują się duszpasterstwem, przedewszystkiem zaś urządzają wycieczki misyjne do sąsiednich wiosek.

Główną stacyą w głębi kraju jest Kukusz. Praca, dokonywana w tej miejscowości, przedstawia miniaturowy obraz prac misyjnych w całym kraju i uzupełnia wyżej podane szczegóły.

Kukusz, liczący około 10.000 mieszkańców, rozłożył się w pięknej okolicy, 50 kilometrów na północ od Saloniki, z którą go łączy kolej żelazna. Miasteczko to jest rezydencyą tureckiego kaimakana i kadi'ego, mieści małą załogę i stanowi centralny punkt targowy dla okolicznych miejscowości. W dni targowe zapełniają się ulice wołami, zaprzęgniętymi do niezgrabnych wózków. W Kukusz mieszka wikaryusz apostolski i rdzenna część jego owczarni t. j. 300—400 rodzin po większej części bardzo biednych. Tu jest także główna widownia walki między schizmą a Kościołem katolickim. W roku 1875. oświadczyła się prawie cała ludność miasteczka za unią z Rzymem, wtedy też przeszły w posiadanie katolików położony na wzgórzu w środku miasta kościół św. Jerzego, nadto kościół Bogarodzicy, pałac biskupi, szkoły i kilka domów. Skoro jednak egzarchat powstrzymał ten ruch do unii, a nawet osięgnął przewagę nad katolikami, starali się schizmatycy odzyskać utracone posiadłości. Trzy razy rozpoczynali w tym celu proces, trzy razy go przegrali, wreszcie zaczęli na wszelkie sposoby przeciągać unitów napowrót do schizmy —

niestety dosyć często skutecznie. Jako głównego środka do przeprowadzenia swych zamiarów użyli ruchu narodowego, dążącego do zrzucenia tureckiego jarzma; myśl wyzwolenia narodowego opanowała już oddawna i chrześcijańską część ludności tych ostatnich prowincyi tureckich w Europie.



Śp. Siostra Pourtalès, przełożona Sióstr Miłosierdzia w Kukusz.

Ruch narodowy jest główną przeszkodą do postępu katolicyzmu w Macedonii jak wogóle na całym wschodzie. Żeby to zrozumieć, trzeba pamiętać, że tam identyfikuje się pojęcia religii i narodowości: Turek jest muzułmaninem, Grek ortodoksyjnym, Armeńczyk gregoryaninem, Bułgar egzarchistą. Każdego, który nie jest Bułgarem, nazywa się tu Frankiem,

Frank zaś znaczy tyle, co katolik. Każdy Misyonarz, pracujący na wschodzie, wie dobrze, jak tam trudno złamać zaporę nacyonalizmu. Przed 50 laty Bułgarzy tłumnie przechodzili do unii, pieszcząc się nadzieją, że państwa katolickie poprą ich dążności do zrzucenia jarzma patryarchatu greckiego a może i sułtana. Kiedy te marzenia się rozwiały, a oparcie o Rosyę zdawało się jaśniejszy dla Bułgarów otwierać horyzont, nastąpiła reakcya. Ciężkie chwile prześladowania musiała przeżyć garstka unitów, która w Kukusz wiernie trwała przy Kościele. Używano wszelkich sposobów, aby ich skłonić do odstępstwa: pozbawiano ich pracy, bojkotowano ich handel, zwrócono się nieraz do jawnej przemocy. Mimo to kilkaset rodzin stanęło twardo przy sztandarze unii, w czem jest wielka zasługa Sióstr Miłosierdzia, które od r. 1885. w Kukusz osiadły. Założenie tamtejszego domu przez Siostrę Pourtalés-Chorgier trzeba było wówczas uznać za krok niezwykłej odwagi, bo w Kukusz nie było jeszcze ani Ks. Ks. Misyonarzy ani kolei żelaznej. Siostry musiały się stosować do obrządku bułgarskiego i znosić się w sprawach religijnych z miejscowymi popami.

Zaledwie zjawiły się Siostry Miłosierdzia, wszczęła się walka. Siostry otworzyły szkołę, ale zamknęli ją Turcy i trzeba było długich układów, zanim ją oddali. Dla rozszerzenia osady dokupiły Siostry kawał roli, ale egzarchiści nie zaniedbali niczego, żeby im wydrzeć zakupiony grunt i dokonali istotnie, że go skonfiskowało sułtańskie irade mimo prawnego tytułu i protektoratu francuskiego.

Żeby Siostry usunąć, knuto intrygi, używano gwałtu. Przez pewien czas nie mogły się wychylić z mieszkania, nie narażając się na obelgi przechodniów. Podczas procesyi uzbrajała się Siostra Pourtalés w kij, ażeby obronić katolicką dziatwę przed zniewagami. W roku 1898. napadnięto Siostry w kościele, bito je kułakami, deptano nogami. Siostrę Pourtalés uderzył ktoś ciężkiem jakiemś narzędziem w głowę. Ślady pokrytych sadzą palców, zostawione na kornecie, wskazywały, że cios wymierzył miejscowy kowal. Stan rzeczy był



Zakład Sióstr Miłosierdzia dla sierót w Kukusz.

tak poważny, że w Paryżu zamierzano odwołać Siostry, które jednak usilnie błagały, żeby je pozostawiono na miejscu. Pod wodzą swojej odważnej i przedsiębiorczej przełożonej wytrzymała istotnie szczupła gromadka wszelkie ataki.

Dziewiętnastego listopada 1901. roku zmarła Siostra Pourtalès w 61. roku życia i spoczęła w małej kaplicy Konania, którą zbudowała krótko przed śmiercią. Śmierć ta jakby zażegnała burzę. Odtąd zostawiono Siostry w spokoju a ich działalność rozwijała się coraz pomyślniej. Obecnie Siostry w Kukusz kierują szkołą, przeznaczoną na wychowanie katolickich nauczycielek, nadto w żeńskiej szkole kształcą 150 panien, w przytulisku wychowuje się 40—50 dziewcząt. W aptece otrzymuje rocznie około 10.000 chorych lekarstwa, poradę, opatrunek; nawet nieprzyjaciele Sióstr pamiętają w chorobie o ich aptece. Najwięcej sympatyi zyskuje Siostrom odwiedzanie chorych w ich własnych domach. Niemal każdy tydzień siadają Siostry na koń i mimo niebezpiecznych dróg odbywają 5—6 milowe podróże do okolicznych siół; czasem tylko towarzyszy im przedstawiciel tureckiej policyi. W tych zapadłych wioskach znajdzie się zawsze znaczna liczba opuszczonych chorych, którym Siostry razem z lekarstwem przywożą także pociechę i pełną miłości zachętę do życia. Podobną działalność rozwijają Siostry w Monastyrze, co im jedna coraz więcej czci i uznania. Miłosierdzie chrześcijańskie utorowało w ten sposób drogę do Kukusz Ks. Ks. Misyonarzom, którzy tam zjechali w roku 1900., objęli zarząd przytuliska dla sierót oraz szkoły dla chłopców i zaczęli w okolicy udzielać misyi. Smutne stosunki, wywołane w roku 1903. przez rewolucyę i towarzyszącą jej barbarzyńską wojnę między Turkami i powstańcami, dawały Misyonarzom i Siostrom wiele sposobności do świadczenia miłosierdzia i zyskania sobie serc biednej, podniecanej ciągle do nienawiści, ludności wiejskiej. To też całe wioski zgłosiły się znowu z chęcią do unii z Rzymem. Takie nawrócenia mają zresztą tutaj jak wogóle na wschodzie małe znaczenie, jeżeli się w danych miejscowościach nie buduje szkół i nie zakłada

stacyi misyjnych dla pouczenia tego ciemnego zupełnie w rzeczach religijnych ludu.

Niezmiernie trudne jest obecne położenie stacyi misyjnych wobec niepokojów ludności z jednej — represyi tureckiej z drugiej strony. Całe tłumy nędzarzy snują się po Macedonii, pisze Ks. Cazot, przełożony Ks. Ks. Misyonarzy w Zeitenlik, do naszego Najprzewieleb. Ks. Wizytatora. Wioski zamienili w zgliszcza Turcy lub powstańcy, domy złupione, bydło uprowadzone. W Macedonii panuje jeszcze ciągle niepokój; powstańcy greccy i bułgarscy przebiegają ustawicznie kraj, mściwa zaś ręka turecka spada najczęściej na niewinnych. Pełno opuszczonych dzieci błąka się po różnych drogach — trzeba je ratować. Ks. Cazot zamierza założyć nową stacyę miłosierdzia dla nieszczęśliwych przez otwarcie domu Sióstr Miłosierdzia w Enidje, gdzie już od kilku lat pracują Ks. Ks. Misyonarze.

Siostry Miłosierdzia w Galicyi w czasach Józefinizmu.

(Ciąg dalszy).

Przy powszechnej kasacie zakonów w Galicyi za rządów cesarza Józefa II. nie robiono żadnych wyjątków, nie badając głębiej pożyteczności klasztorów, nałożono na wszystkie te same ograniczenia. Zwolna dopiero z pod tej ogólnej normy miały sobie wywalczyć byt niektóry zakony, zwłaszcza żeńskie, by uznane jako zakłady publicznej użyteczności, prowadzić życie skrępowane na każdym kroku, pełne urzędniczych szykan i różnego rodzaju trudności z rządem, nim wreszcie epoka konkordatowa w 1855. r. wyzwoliła je z pod tego uciążliwego jarzma. Cesarz Józef II. miał jak najgorsze mniemanie o Galicyi, jak wogóle wszyscy zaborcy, tak samo i cesarz austryacki uzasadniał bezrządem i nieładem cały rozbiór nieszczęśliwej Polski, potępiał więc z góry wszystko i na nowych przez siebie wymarzonych podstawach postanowił przeprowadzić nowy porządek rzeczy tak w kościele jak w ustroju społecznym Galicyi. Zwłaszcza sprawy kościelne zastrzegł wyłącznie dla siebie i ważniejszych dyspens sam tylko udzielał. Trzykrotna podróż cesarza po Galicyi miała bardzo wielkie następstwa i pewna liczba klasztorów zawdzięcza jej swoje ocalenie. Otóż i Siostry Miłosierdzia między innymi zawdzięczają takiej podróży cesarskiej z 1783. r. znaczne ulgi w stosunkach swych z zagranicą, lecz mimo to miały jeszcze cały szereg trudności do zwalczenia, nim po 70 latach uciążliwej kontroli swobodniej odetchnęły. Chęć poprawy stosunków kościelnych obejmowała wszystko, od podatków począwszy, jakie zakony miały płacić aż do liczby świec na ołtarzu, jakie należało zapalać podczas nabożeństwa w kościele. To przysporzyło rządowi niesłychanie wiele

pracy i owocem tego są owe centnarowe akta stertami nagromadzone w kancelaryach wiedeńskich; bawiono się w drobiazgi kościelne i zakrystyę, a kraj pozostawał w politycznym i przemysłowym zastoju.

I do Sióstr Miłosierdzia zastósowano przepisy rządowe. Najpierw nastąpił kataster majątkowy. Według konsygnacyi z 1782. r. oceniono majątek ich w Galicyi jak następuje:

Lwów	95.625	florenów	
Maryampol . .	19.000	„	
Rozdół	10.000	„	
Brody (w kraju) .	3.635	„	45 krajcarów
„ (za granicą)	3.504	„	

Majątek ogólny, wynoszący 131.764 fl. 45 kr., to majątek znaczny, jeżeli się weźmie na uwagę małą wartość ziemi a wielką pieniędzy na owe czasy. Majątki te spisane zawinkulowano, t. z. że bez zezwolenia i wiedzy rządu nie wolno nic z nich sprzedawać. Obok tego miał dom lwowski 20.750 fl. kapitału, zahipotekowanego na dobrach we Fulsztynie, które wówczas posiadał wolnomularz i illuminata Tadeusz Grabianka. Po jego bankructwie rząd zabrał te pieniądze, a o wypłaceniu procentów z nich ani myślał. Na natarczywe przedstawienia Matki Wizytatorki uczynił to wreszcie, wypłacając jednakże tylko $3^1/_2\%$, choć sam pobierał 5%, a w dodatku od wypłaconych klasztorom procentów brał jeszcze 10% podatku. Obok tego w rządowych aktach z 1802. r. czytamy jeszcze o jakichś dwóch obligacyach opiewających na 5000 fl. i 22.975 fl., które rząd zabrał a Siostry zmusił do kupowania obligacyi o niższym procencie. W Brodach miały Siostry Miłosierdzia również jakieś kapitały, bo w wykazie dochodów są podane dwojakie procenta: 162 fl. 30 kr. i 222 fl. $18^3/_4$ kr., widocznie skonfiskował je rząd i znowu wypłacał tylko $3^1/_2\%$. Domy w Maryampolu i Rozdole nie posiadały prócz dóbr w ziemi żadnych kapitałów.

Wogóle majątek Sióstr Miłosierdzia był wcale znaczny, lecz zato miały też liczne zobowiązania i najrozmaitsze ciężary. Urzędnicy cesarscy, widząc liczne zakłady i prace Sza-

rytek, posunęli się do ostateczności w swej chciwości i przypuszczając zapewne ukrycie pewnej części dochodów, zażądali nagle w 1787. r. dokładnych rachunków nawet za czas przeszły od Matki Wizytatorki. Była to rzecz na owe czasy niemożliwa; to też Wizytatorka udała się z prośbą wprost do cesarza. Poparł ją w tem gubernator, uczciwy hr. Brigido i od rachunków została uwolnioną. Tej porażki nie mogła zapomnieć izba obrachunkowa we Lwowie. Wnet się też rozpoczęły szykany urzędników, widocznie ludzie ci nie mogli pojąć tego miłosierdzia chrześcijańskiego, który często przy szczupłych środkach prawdziwych cudów dokonuje. Zarzut ukrywania dochodów powtarza się jeszcze dwa razy w 1800. i 1801. r., podtrzymywany uporczywie przez barona Erggeleta, referenta galicyjskiej kancelaryi nadwornej. Człowiek ten nie rządził się sympatyami dla Sióstr Miłosierdzia i już w 1786. roku wyraża wątpliwość, czy wogóle Siostry przynoszą tyle pożytku, żeby warte były takich ofiar, jakie dotąd dla nich państwo i fundusz religijny ponosiły. Z tej zasady wychodząc, ciągle szkodził Siostrom i wszystkie ich zapomogi powoli umniejszał, aż w roku 1801. (31. grudnia) zadekretował, że Siostry już więcej nic nie dostaną, bo ukrywają dochody, rachunków nie składają i wogóle nie należy ich traktować z predylekcyą, tylko wedle ich zasług, zresztą „szpitale Sióstr Miłosierdzia, to raczej przytułki dla umierających niż lazarety dla chorych“ według niego.

Ledwie jedne kłopoty finansowe się skończyły, aliści urzędnicy izby obrachunkowej we Lwowie, zawzięci Niemcy i Józefiniści znowu coś nowego wynaleźli; oto donieśli cesarzowi w 1786. r., że Siostry Miłosierdzia utrzymują u siebie po szpitalach osoby starsze ponad 20 lat, nawet rozwódki i rozmaite stare kobiety. Rozchodzi się tutaj o tak zwane rezydentki. Za czasów Rzeczypospolitej wiele szlachcianek, nie mając już nikogo na świecie, zapisywało resztę swej fortunki klasztorom żeńskim, przy których zabezpieczyły sobie dożywotnie utrzymanie i pogrzeb. Takich rezydentek żyło najwięcej przy klasztorach kontemplacyjnych, teraz po zniesieniu

ich schroniły się w liczbie 12 do domu Sióstr Miłosierdzia we Lwowie, przyczyniając się w pewnej mierze do utrzymania sierót i do posług w domu. Obok tego w drugim domu przy klasztorze po OO. Reformatach utrzymywały Siostry 8 rezydentek, z których 4 były obłąkane a inne nieuleczalne. W szpitalu spotykamy wreszcie chore zakonnice, wyrzucone ze swych klasztorów, mianowicie 1 Karmelitankę bosą, jedną 80-letnią Dominikankę, 4 Karmelitanki trzewiczkowe i 1 Klaryskę z Tarnowa. Te nieszczęśliwe ofiary prześladowania, pozbawione dachu, znalazły teraz u Sióstr Miłosierdzia schronienie, lecz i na to zwrócił biurokratyzm uwagę, dochodząc w swej nienawiści do ostateczności. Jako prawdziwa Siostra Miłosierdzia obroniła je jednak Matka Wizytatorka, zapewniając cesarza, że wszystkie te osoby żyją jak za klauzurą, nigdzie się nie pokazują i prowadzą życie odosobnione i uczciwe, a żadnych rozwódek nie trzyma się w domu. Mimo tych wyjaśnień Józef II. zadekretował jednak wydalenie tych osób; całą tę sprawę przejrzał jeszcze raz hr. Brigido i ostatecznie skłonił cesarza, że w tym jednym wypadku ustąpił od raz powziętej zasady.

Najważniejszą jednak sprawą dla Sióstr Miłosierdzia była sprawa seminaryum. Wywalczywszy sobie stosunek i łączność z Generałem i ciesząc się pewną sympatyą i poparciem rządu, byłyby musiały upaść, gdyby im nie pozwolono na założenie seminaryum; sprawa ta nabierała jeszcze więcej wagi wobec tego, że rząd projektował założenie nowych czterech domów w Zamościu, Przemyślu, Przeworsku i Nowym Sączu, gdzie Siostry miały zająć miejsce dawnych zakonów. Po długich pertraktacyach rząd zgodził się na założenie seminaryum w 1783. roku, a nawet 4000 fl. rocznej subwencyi wyznaczył na ten cel. Wogóle, o ile rząd gnębił inne zakony, o tyle chciał mieć jak najwięcej Sióstr Miłosierdzia; lecz w rachubach swych zupełnie się przeliczył. Jedna, jedyna postulantka zgłosiła się do Sióstr po otwarciu nowicyatu, tymczasem cesarz Józef II., którego filantropia popychała do zakładania nowych szpitali, niecierpliwił i gniewał się, że jeszcze nie za-

łożono nowych domów Szarytek. W liście z 15. stycznia 1784. roku pociesza cesarza hr. Brigido, żeby się nie martwił brakiem powołań do Sióstr Miłosierdzia i dodaje w końcu, „że nie można wątpić, że ich będzie więcej, skoro się rozgłosi po kraju, jakie nadzwyczajne przywileje daje Najj. Pan Siostrom Miłosierdzia i skoro się zmniejszy odstraszające wrażenie wywołane zniesieniem innych klasztorów panieńskich". Rzeczywistość zawiodła jednak wszelkie oczekiwania reformatorów. Wrażenie, wywołane zniesieniem tylu zakonów, było straszne i nikt nie mógł obojętnem okiem patrzeć na niedolę tylu zakonnic wyrzuconych ze swego klasztornego zacisza. A cóż mówić dopiero o schorzałych staruszkach, kalekach, niewidomych, zmuszonych teraz do błąkania się po szpitalach; niejedna wstąpiła młodą dziewicą do klasztoru w tem przekonaniu, że tam, gdzie sterała swe siły, dokona i swego sędziwego wieku, a teraz została na bruk wyrzuconą bez miłosierdzia? Nic dziwnego, że to wszystko odstraszało panny od wstępowania do zakonu. Wogóle pod wpływem prądu józefińskiego paczył się duch narodu; wygasło powołanie zakonne w kraju, w którym poznoszono tyle klasztorów, a nad resztą zaciężyła macosza opieka rządu. Przerażający brak duchowieństwa ujawnił się niebawem w całym kraju, a prastare świątynie i przybytki Boże opustoszały. I Siostry Miłosierdzia ucierpiały od ducha czasu, powołań nie było, a tymczasem rząd naglił i obarczał coraz nowemi pracami. Wobec tego zwróciła się Matka Wizytatorka do zagranicy, do Francyi z prośbą o nowe Siostry. Znając przychylność cesarza dla Zgromadzenia i jego życzliwe usposobienie dla Francyi, krzywdzona zresztą w tylu innych razach, zażądała 2000 dukatów na podróż Sióstr z Francyi. Cesarz zatwierdził ten wydatek i pod koniec 1784. roku zjawiły się cztery francuzki z Paryża w Galicyi. Ażeby podołać żądaniom cesarza, Matka Wizytatorka zaprosiła jeszcze 6 Sióstr z Warszawy, te się jednak z niewiadomych przyczyn nie stawiły. W ostatniej chwili zasiliło jeszcze Siostry Miłosierdzia 10 panien Kanoniczek ze Lwowa, które po zniesieniu swego Zgro-

madzenia wstąpiły do Szarytek; rząd na ich utrzymanie wyznaczył osobną dotacyę jakoteż i na ich szpitalik, który teraz połączono ze szpitalem Sióstr Miłosierdzia. Ten przybytek nie zasilił jednak dostatecznie Zgromadzenia, którego szeregi przerzedzała epidemia tak często w szpitalach siostrzeńskich panująca; to też nowo projektowane przez rząd domy dopiero w pierwszej połowie XIX. wieku doczekały się obsadzenia. Wogóle mówiąc, o ile przełożona krajowa wiąże Zgromadzenie ściślej z otoczeniem i nadaje mu pewną cechę rodzimości, o tyle tu w tym wypadku przyznać musimy, że dla Sióstr Miłosierdzia było lepiej, że miały francuzkę za przełożoną. Cesarz Józef II. nienawidził Polaków i miał o nich jak najgorsze wyobrażenie; dla Francyi jednak, skąd wychodziły fałszywe idee postępu i oświecenia i gdzie także przebywała jego siostra Marya Antoinette, zaślubiona nieszczęśliwemu Ludwikowi XVI., cesarz był daleko lepiej usposobiony i zapomocą francuzek chciał nawet zreformować pewne Zgromadzenia, jak n. p. sprowadzone przez niego do Lwowa PP. Sercanki (du Sacré Coeur).

Siostry Miłosierdzia, doznając od rządu pewnej opieki i tolerancyi, musiały się także zgodzić na jego żądania. Otóż rząd domagał się od nich, „żeby dla swoich sierot założyły niemieckie szkoły normalne“. Jak tego dopełniły Siostry, nie wiemy; przynajmniej akta kancelaryjne nic o tem nie wspominają. Prawdopodobnie rząd mniej dbał o szkoły dla sierot, a większą uwagę zwracał na szkoły wyższe, zwłaszcza dla córek szlachty, o której germanizacyi mu najwięcej chodziło. Jednej rzeczy tylko pomagała się Komisya nadworna od Szarytek t. j., aby nie utrzymywały szkół przy lazaretach, lecz tylko tam, gdzie dom nie jest połączony ze szpitalem. Rozporządzenie to, ze względów zdrowotnych słuszne, przyczyniło się później do tego, że Siostrom oddawano stare klasztory, w których znajdowały lepsze pomieszczenie. Obok największej nędzy po szpitalach skupiała się też wielka liczba sierot po domach siostrzeńskich. W tych czasach mamy we Lwowie sierot 60, w Brodach 20, w Maryampolu 24 a w Roz-

dole 29. Fundacye, uszczuplone w dodatku przez rząd, nie wystarczały na utrzymanie tak wielkiej liczby sierot, lecz miłosierdzie brało górę nad rachubami ziemskiemi u Córek św. Wincentego; mozolnie, bez rozgłosu jak zwykle, utrzymywały sieroty ponosząc przez to straty na funduszach domowych. W Zamościu n. p. utrzymanie dla jednej Siostry na rok wynosiły zaledwie 32 fl. Nędza w Galicyi musiała być wielka, ciągle bowiem proszą Siostry rząd o wsparcie na domy sierot, lecz zawsze ta sama odpowiedź je spotykała uzasadniana zimno tem, żeby były miłosierne w miarę dochodów i tyle tylko przyjmowały dziewcząt, ile mogą wyżywić; to znowu, żeby wydalały wszystkie dziewczęta po 14 lub 15 lat, bo takie mogą już iść do służby, albo też, żeby sobie same szukały dobroczyńców, a wreszcie mogą kwestować na cel tak szlachetny. Tak odmawiał pomocy ten rząd, który w tym czasie wywozi z kraju 270.000 fl. czystego dochodu z funduszu religijnego, a w kasie samej pozostaje mu jeszcze 94.000 fl. czystej gotówki. Mimo to wszystko póki żył Józef II. a hr. Brigido był gubernatorem Galicyi, Siostry Miłosierdzia doznawały jeszcze pewnych względów; inny wiatr powiał jednak za cesarza Franciszka i wtedy niedostatek a nawet nędza zaczęła być stałym gościem w niektórych domach Szarytek. Austrya przyprowadzona na brzeg upadku przez wojny napoleońskie, użyła na koszta wojenne i funduszu religijnego, który odtąd aż do 1834. r. popadł w niewypłacalność. Era konstytucyjna i rządy krajowe przyniosły dopiero Siostrom pewną ulgę i większe zrozumienie ich pracy po szkołach.

(Dokończenie nastąpi).

Ks. Jan Rzymełka.

Dwie uroczystości odpustowe w Kaczyce.

List ks. Superyora Słomińskiego z 22. grudnia 1905. roku.

Aby raz przecie obietnicę moją spełnić, muszę już wreszcie słów parę napisać do Sz. Redakcyi *Roczników*. Najważniejszym wypadkiem w kronice naszej za rok 1905., to odpust na Matkę Boską Różańcową, który tego roku po raz pierwszy zaprowadziliśmy. Bałem się, że może ciężko go będzie zaprowadzić, że na pierwszy raz ludzi przybędzie mało, zwłaszcza, że tuż przedtem była w dekanacie wizytacya kanoniczna, więc ludzie mieli misye i użyli uroczystości w czasie pobytu w parafiach Najprzew. ks. arcybiskupa, a jeszcze do tego dwa dni przed Matką Boską Różańcową był odpust w sąsiedniej parafii, Solce, na św. Michała. Tymczasem nadspodziewanie nasz odpust się udał. Ludu przybyło dosyć dużo, choć dopiero w sam dzień rano, a stosunkowo mało we wigilię, gdyż tu trudno o noclegi pod dachem, a na nocleg pod gołem niebem już pora za późna. Nieszporami i różańcem zaczęliśmy we wigilię odpust. Księży zjechało się mniej niż na odpust wielki, było nas jednak 15. Na drugi dzień rychło rano już ludzi czekało dużo do spowiedzi i mimo, że wszędzie w okolicy z okazyi wizytacyi przystąpiono do Sakramentu Pokuty, wyspowiadaliśmy jeszcze 800. Przyszła i procesya jedna węgierska, jedna niemiecka, więc też i niemieckie i węgierskie kazanie oprócz polskiego było. Punktem kulminacyjnym tego odpustu — to procesya różańcowa. Dwa ołtarze były przygotowane przy kościele pod wielkimi bocznymi oknami, a trzy w salinie. Prześliczny był widok, gdy przy pięknej, słonecznej pogodzie wyruszyła olbrzymia procesya,

złożona z różnolitego ludu i 15 księży w ornatach, a śpiew polski różańca mięszał się w harmonię ładną z dźwiękiem naszych dzwonów i o góry odbite jego echo szło w niebo jak wspaniały hymn uwielbienia naszej Matki ukochanej. Ewangelie odśpiewane zostały dwie w języku łacińskim, dwie w ruskim, jedna w ormiańskim. I nie podobno się było oprzeć rozrzewnieniu na myśl, że języki polski, niemiecki, łaciński, ruski, węgierski i ormiański złączyły się w tak zgodny akord, aby chwałę Maryi w tym dniu głosić. Chyba i Maryi spodobało się takie złączenie się Jej dzieci o rozmaitych językach u Jej stóp. Jak to piękny był obraz tego nabożeństwa różańcowego, w którem rozmaitość łączy się w tak cudownie piękną, harmonijną jedność! — Lud zachwycony był tym odpustem, a zwłaszcza procesyą, więc jest prawie pewność, że odpust nie tylko się przyjmie, ale frekwencya nań zwiększać się będzie.

W czasie odpustu głównego 15. sierpnia, na który teraz co rok więcej ludzi się garnie, wprowadziliśmy dwa nowe kazania, t. j. kazanie w języku węgierskim i rumuńskim, rumuńskie zwłaszcza sprawiło wielkie wrażenie, wielu bardzo rumunów-schizmatyków słuchało go z zachwytem.

Kościół nasz stoi jeszcze bardzo pusty zewnątrz, bo całe urządzenie jest ze starego kościółka. Nie możemy się bowiem zapuszczać dalej, dopóki nie opłacimy kosztów budowy kościoła. Takby już dusza pragnęła tego, żeby można jak najprędzej Maryi Jej przybytek godnie przyozdobić.

KRONIKA.

Chiny. — *Pekin.* Postępy pracy ewangelizacyjnej. — Ks. Guilloux, prokurator misyi naszych w Chinach, pisał dnia 17. sierpnia 1905 r. do N. ks. Generała: „Wczoraj otrzymałem sprawozdanie z prac misyjnych w Pekinie za rok 1904/5. Liczba dorosłych, w tym czasie ochrzczonych, wynosi 13.668, dodawszy do tego 2000 chrztów dzieci, pochodzących z rodzin już nawróconych, otrzymamy ogólną sumę chrześcijan, dochodzącą do 73.920. Spodziewam się, że w przeciągu 2 albo 3 lat liczba wzrośnie do 100.000. Podobnie owocują prace misyjne w innych stronach niebieskiego cesarstwa: w Cze-Kiang ochrzczono 1808 dorosłych, przez co liczba chrześcijan podniosła się do 20.725. Równie pomyślny rezultat podaje Mgr. Ferrant z północnego Kiang-Si, gdzie chrzest św. przyjęło 1314 dorosłych; na tem terytoryum misyjnem znajduje się obecnie 10.034 chrześcijan, podczas gdy w roku 1901. było ich tylko około 5.300".

Shanghai. — Z listu Siostry Moniak, pisanego 14. października 1905. r. do naszego N. ks. Wizytatora. Rozpocznę swój list od opisu lata chińskiego, bo ciekawa to rzecz bliżej się z niem zapoznać. Powiadają, że w żadnej części świata lato nie jest tak uciążliwe jak w Chinach, bo prawie przez 6 tygodni temperatura jest jednostajna, tak w dzień jak i w nocy 38—40 stopni. Przytem — jak w Shanghaju — w bliskości morza powietrze ciężkie, klimat raczej zawsze wilgotny. To też wyglądamy wszystkie obecnie jak muchy, wyszłe z gorącej wody. W nocy trudno o spoczynek, bo potrzeba otworem zostawić drzwi i okna, a to właśnie Chińczycy wychodzą z domów i urządzają sobie spoczynek na

ulicy, wrzeszcząc jak dzicy. Cóż powiedzieć o biednych Siostrach czuwających, które muszą zarwać swój spoczynek wśród skwaru i wrzawy ulicznej jak w biały dzień; stąd też dwa miesiące lata zastępują tu post 40-dniowy, niema przepisu na post z wyjątkiem 7 piątków w czasie postu i wigilii Bożego Narodzenia. Soboty nikogo nie obowiązują; w Zgromadzeniu zachowuje się, ile możności, ale w bardzo małej liczbie. Pytałam ja raz Siostry z kuchni, wiele też wypotrzebowuje lodu w czasie gorących dni. Odpowiedziała mi, że 900 klg. dziennie, co kosztuje 9 dolarów, a na miesiąc 270, czyli około 600 franków. My także z tego korzystamy i kilka razy w dniu po kawałku w szklance utonie, aby tem życie swoje uratować, jak my to nazywamy.

Chciałabym trochę dać poznać nasz dom, ale lepiej zachowam to na później, bo właśnie na przyszły miesiąc połowa przenosi się do nowego budynku, 5-piętrowego, zbudowanego z całym przepychem amerykańskim, gdy tymczasem część dawnego budynku będzie zburzona. Wszystko to zachowam na później, jak się rzeczy trochę urządzą.

Jesteśmy tu jeszcze pod wrażeniem klęski powodzi, którą podobało się Panu Bogu nawiedzić Chiny 1. września b. r. Było to w nocy z dnia 1. na 2. września, doskonale śledziłam podnoszenie się wody; wśród ciszy i spokoju posuwała się dalej i dalej. Cały Shanghai był zalany wodą. Powiadają a raczej liczą szkody w magazynach kupieckich i okrętowych na 10 milionów taëls, t. j. 40 milionów franków. Ale cóż szkody materyalne wobec strat życia; 20.000 osób w okolicy padło ofiarą tej klęski. Oto, co słyszałam od jednego z Ojców Jezuitów, który sam cudownie był ocalony z garstką 14 osób na 10.000 mieszkańców wyspy Chuanszang na wschodzie od Shanghaju. Powiada, że obudził się o 11-tej w nocy, gdy woda już dochodziła do wysokości łóżka, wyskoczył coprędzej by zobaczyć, co się dzieje; jak okiem dosięgnąć, nie było nic tylko woda, a mieszkańcy na dachach domów wołali o ratunek. Brnąc we wodzie, dostał się do oratoryum, by ratować Najśw. Sakrament; tymczasem

runęła część domu, z której wyszedł. Domownicy poustawiali stoły, aby się wdrapać na szczątki muru, gdzie się i bliżsi sąsiedzi zebrali, sądząc, że rezydencya misyi wytrzyma prąd wody. Bałwany morskie coraz bardziej napływały ze wszech stron, otaczając wyspę, biedni zagrożeni widzieli, że tu się nie ostaną, z całym wysiłkiem podążali do kościoła, który jednak także runął, zanim tam przybyć mogli; został tylko kawał muru, na którym biedacy zmoczeni i zziębnięci przestali do 9-tej rano, aż łodzie ratunkowe przybyły im na pomoc. Do dziś wyspa jest pod wodą i zdaje się, że nigdy już ziemia się tam nie ukaża, a wszystko, co na niej było, pochłonęły fale morskie. Na sąsiednich wyspach mniej więcej były takie same ofiary, a gdzie woda opada, powietrze zaraża się rozkładem trupów ludzkich i zwierzęcych. Co mówić o biednych, którzy uratowali swe życie i straciwszy wszystko, wystawieni są na ostatnią nędzę! Przepowiadają tu na jesień morową zarazę, a będzie, co się Bogu podoba. U nas mieliśmy wodę w całym ogrodzie i w dolnych mieszkaniach, u chorych zaledwie na stopę. Zachował nas Pan Bóg, bo cóżby to było z przenoszeniem chorych! Piwnica, kuchnia i apteka może na $^{1}/_{2}$ metra miały wody; z pomocą domowników uratowało się wszystko, co było w dolnych szafach, a resztę poleciło Bożej opiece. Mieliśmy w aptece szkody na 50 do 60 dolarów, to wszystko. Oprócz powodzi wicher, który szalał tej samej nocy, poobalał mnóstwo drzew, budynków, słupów telegraficznych, woda uszkodziła baterye elektryczne i tak w domu zostaliśmy w zupełnej ciemności, potrzeba było, gdzie nie było gazu, świeczkami oświecać sale.

Wojna skończona, mamy tu jeszcze kilku ruskich, pomiędzy nimi admirała i świaszczennika. Drudzy już opuścili Shanghai, przeszło tu już u nas około 130 chorych, bądź rannych, bądź chorych ze zmęczenia i niedostatku.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kleparz. — Jednostajne zajęcia konfratrów domu centralnego w kościele, po szpitalach i szkołach przerywały w ubiegłym kwartale niektóre prace wyjątkowe jak rekolekcye dla Dzieci Maryi w domu im. św. Stanisława Kostki i u św. Łazarza, nadto dla dziewcząt w domu głównym Sióstr Miłosierdzia i w Wielkiej Wsi pod Wojniczem dla służby i domowników hr. Stadnickich. Zimową porą odbyły się 3 serye rekolekcyi ludowych.

Na stanowisko nowo otwartego domu w Odporyszowie pod Tarnowem wyjechał z Kleparza ks. Szczepan Krzyszkowski.

Nie uwzględniono w sprawozdaniach kwartalnych pewnego rodzaju zajęć, wiążących nas z ogólniejszymi interesami Zgromadzenia i społeczeństwa, robimy to więc z końcem roku. Mamy na myśli obok „Roczników obydwu Zgromadzeń“ organ Dzieła św. Dziecięctwa i „Miłosierdzie chrześcijańskie“. Roczniki polskie obydwu Zgromadzeń miały według życzenia Najprzew. Generała, ks. Fiat, zostać skarbnicą naszych dziejów, środkiem do utrzymania jedności, która jest naszą siłą, miały wreszcie służyć jako jeden ze środków budzenia gorliwości; spełni się ten ideał, jeżeli zbliska i zdala napływać będą sprawozdania z życia i prac obydwu Zgromadzeń. W roku ubiegłym drukowano co kwartał 9500 egzemplarzy organu „Dzieła św. Dziecięctwa“, do generalnej zaś dyrekcyi w Paryżu wysłano 21.500 koron, lecz trzeba zaznaczyć, że suma ta stosunkowo bardzo szczupła wobec 14 zapomóg w kwocie 312.500 fr., jakie z tej instytucyi otrzymały nasze misye w Chinach (305.000 fr.) i na Madagaskarze (7000 fr.). Prowincya nasza nie wysyła jak dotychczas Misyonarzy do krajów pogańskich, przyczynia się jednak przez propagandę stowarzyszenia Dzieciątka Jezus do ułatwienia pracy konfratrom innych prowincyi. Chlubnym jest współudział Sióstr Miłosierdzia w gromadzeniu odnośnych jałmużn. „Miłosierdzie chrześcijańskie“ rozchodzi się obecnie w 450 egzemplarzach,

jest w Bogu nadzieja, że po zniesieniu cenzury znajdzie poparcie w Królestwie, gdzie się mają niebawem zorganizować Konferencye św. Wincentego à Paulo.

Stradom. — Praca nasza poza nauką w szkole rozwijała się w zeszłym roku w tych samych granicach, co w latach ubiegłych. W naszym kościele rozdano Komunii św. 25.701. Z końcem marca dawaliśmy rekolekcye ubogim w „Dobroczynności“ i ubogim w „Domu pracy“ na Kazimierzu; tu je zakończył rozdaniem Komunii św. i podniosłą przemową Najprzew. ks. biskup Nowak. W kwietniu przed Wielkanocą urządziliśmy jeszcze dwoje rekolekcyi dla ubogich kobiet i mężczyzn w zakładzie brata Alberta. Obok tego brali udział nasi księża w peryodycznych spowiedziach dla młodzieży rozmaitych krakowskich szkół średnich, pomagali w słuchaniu spowiedzi na kilku odpustach i wygłosili kilkanaście kazań po innych kościołach. Nasi dyakoni miewali u nas kazania majowe na temat cudownych obrazów Matki Bożej, rozsianych po ziemiach polskich, a w niedziele dochodzili z naukami do ubogich na Kleparz. Tam również co niedzielę odbywali nasi klerycy zebrania dla Dzieci Maryi z pośród młodzieży gimnazyalnej i gromadzili całe zastępy chłopców na katechizm. Od pewnego czasu dochodzi jeden z naszych księży z katechizmem dla ubogiej dziatwy, którą gromadzą co niedzielę Siostry w „Domu pracy“ na Kazimierzu, by ją za przykładem Boskiego Zbawiciela przygarnąć, posiłkiem doczesnym i wiecznym przywiązać do Boga i nieba. W czasie wakacyi w Krzeszowicach wyspowiadali nasi księża przy pomocy konfratrów z Kleparza i Nowej Wsi całą parafię przed wizytacyą kanoniczną. Podczas pobytu naszego na wakacyach umarł w Porębie arcyb. mohylewski, ś. p. ks. Szembek, potomek rodziny, z której wyszedł ks. Michał Szembek, sufragan krakowski, wielki dobrodziej naszego domu i kościoła na Stradomiu. Wszyscy klerycy wraz z księżmi brali udział w pogrzebie. Na rekolekcye przybyło do nas w ubiegłym roku 6 księży. Prócz tego mieliśmy szczęście gościć

u siebie dwóch książąt Kościoła z pod zaboru rosyjskiego. Pamięć tych dni ożywia naszą nadzieję, że nam jeszcze będzie danem pracować na niwie naszych ojców.

Nowa Wieś Narodowa, — Kapłani domu naszego zajęci są przedewszystkiem pracą około Małego Seminaryum, nadto, o ile pozwoli czas, oddają się zwykłym zajęciom przy kościele.

Do Małego Seminaryum w r. 1905/6 przyjęliśmy 75 wychowanków. Zaznaczyć należy, że jest to największa ilość, jaką zakład nasz osiągnął w ciągu blisko trzydziestoletniego istnienia. Przez szereg 7-miu lat przyjmowano studentów corocznie, zatem wszystkie cztery klasy istniały bez żadnej przerwy. W późniejszym czasie przez kilkuletni przeciąg przyjmowaliśmy co dwa lata; w następstwie były kolejno klasa pierwsza i trzecia, względnie druga i czwarta. W bieżącym roku szkolnym wróciliśmy do dawnego systemu, t. j. otworzyliśmy bez rocznej przerwy klasę pierwszą, tak, że obecnie jest klasa pierwsza — 23 studentów, klasa druga — 30, klasa czwarta, na przejściu do Wielkiego Seminaryum, 16 wychowanków. Wobec zwiększonej ilości lekcyi otrzymaliśmy pomoc w osobie ks. Stefana Króla.

Co do pracy kościelnej, Komunii św. rozdano 16.000, chorych zaopatrzono w bliższych i dalszych wioskach prawie 150, kazań i nauk wygłosili księża z naszego domu 163, jeden z kapłanów jest stałym spowiednikiem P. P. Norbertanek na Zwierzyńcu, nadto chętnie spieszyliśmy z pomocą bądź konfratrom, bądź duchowieństwu parafialnemu. Z prawdziwą radością możemy podnieść, że nabożeństwo do Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi P., pod którego wezwaniem nasz kościół, wzrasta rok rocznie, czego dowodem odpust 8-go grudnia, podczas którego co rok większa ilość wiernych, przybywających z coraz to dalszych wiosek, przystępuje do Świętych Sakramentów. Okoliczność ta jest dla nas pocieszającem zapewnieniem, że z rosnącą chwałą Maryi spłynie na nas jej pomoc w powierzonej nam przez Zgromadzenie pracy.

Tarnów. — Z nadejściem zimy roboty przy budowie naszego kościoła stanęły. Mury doszły pod dach kaplic, okalających nawy boczne, wieże sięgają kilka metrów wyżej, a dom, którego budowę we wrześniu zaczęliśmy, ma już prawie ukończony parter. Tyle zdołaliśmy zrobić w tym roku. Dzięki niech za to będą Wszechmocnemu, bo zrobiliśmy więcej, aniżeliśmy się naprawdę spodziewali. Patrząc na to, co już stoi, chciałoby się widzieć kościół już gotowym, dotkliwie bowiem daje się odczuwać brak domu Bożego w tej stronie miasta. Niema tu ani kościółka ani kaplicy, to też lud zapełnia szczelnie nasze oratoryum, w którem w niedziele i święta odprawiamy dla niego sumę i nieszpory. Oby więc Bóg dobry udzielił nam pomocy, abyśmy świątynię naszą rzeczywiście w oznaczonym terminie t. j. w roku 1907 zupełnie ukończyć i na pożytek wiernych otworzyć mogli. Na brak funduszów obecnie skarżyć się nie możemy. Lud naszej dyecezyi daje ofiarę hojnie i z Prus trochę grosza przychodzi. Życzliwym ze wszechmiar opiekunem naszej budowy jest nasz Najprzew. ks. biskup. Nie szczędzi on starań i zachodu, kiedy o naszą chodzi świątynię. Niedawno polecił tę sprawę WW. Ks. Ks. Dziekanom na zebraniu w Tarnowie. Niech za to Bóg miłościwie nim się opiekuje i niech mu za to hojnie płaci. Z wiosną z budową pójdziemy dalej.

Kaczyka. — Kaczycki dom, uprosiwszy sobie do pomocy Jezierzany a zwłaszcza ks. Truszkowskiego, odprawił w tym roku 10 mniejszych misyi, które miały przedewszystkiem za zadanie rozbudzić i przygotować lud przed wizytacyą kanoniczną. Przeważnie odprawiały się one dla Niemców. Dużo też pomocy udzielać było trzeba w okolicy z okazyi tejże wizytacyi. W samej parafii kaczyckiej odprawił Najprz. ks. arbp. Weber wizytę między 3.—6. września. Oprócz wizyty w samej Kaczyce, której wyłącznie poświęcił dzień 4. września, zrobił w jeden dzień ekskursyę do Niemców w Illischestie, a jeden dzień poświęcił także Słowakom w Now. Sołońcu. Miło nam bardzo było przez te parę dni mieć

między sobą jako gościa tego dostojnego opiekuna Kaczyki i wielkiego czciciela naszej Matki Boskiej. — Zwyczajna nasza praca rozdzielona na 3 kościoły, w których wiernych obsługujemy. W niedziele i święta dzielimy się regularnie; dwaj konfratrzy wyjeżdżają rychło rano do swych odległych kościołów filialnych i dopiero wieczorem zbieramy się znów razem. Skazani na pracę na tych wielkich przestrzeniach, na których rozrzuceni nasi wierni, jesteśmy podobni trochę do Misyonarzy w Chinach — dużo podróżować musimy, aby choć mało zdziałać. — Usiłowania około wykończenia kościoła i przyszłej budowy domu zabierają nam także dużo czasu.

Warszawa. — List ks. Łukasza Janczaka, opisujący jubileusz kapłański JMKs. Maksymiliana Brzezikowskiego.

Dnia 12. października r. b. w kościele św. Krzyża w Warszawie odprawił sekundycye ks. Maksymilian Brzezikowski, ze Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy, obecnie dyrektor Sióstr Miłosierdzia. O godzinie 10-tej przed południem Jubilat wprowadzony został do kościoła w asystencyi licznego duchowieństwa, poprzedzonego bractwem św. Rocha ze światłem i dziewczątkami, ubranemi biało. Pomodliwszy się gorąco przed ołtarzem, Jubilat rozpoczął uroczyście Mszę św., do której mu koncelebrował Jego Ekscelencya Biskup Ruszkiewicz. Obowiązki archidyakona, dyakona i subdyakona i inne przy mszy św. pełnili Ks. Ks. Misyonarze, nieliczni już dziś, zajmujący posady parafialne.

Na Mszy św. znajdowali się prawie wszyscy prałaci i kanonicy metropolitalni, a także prałat, proboszcz i dziekan łowicki ks. Retke i ks. kanonik łowicki Michalski i mnóstwo duchowieństwa. Również duża liczba Sióstr Miłosierdzia z różnych domów przybyła na uroczystość swego ojca duchownego; ludu wiernego był prawie pełny kościół.

Podczas Mszy św. ks. Ł. Janczak stosowne do uroczystości powiedział kazanie. Chór pod dyrekcyą p. Hordyewicza wykonał pienia religijne, a duet na skrzypcach i wiolonczeli wykonali pp. Tomaszewski i Wiśniewski.

Jubilat urodził się w Łowiczu r. 1832., tam ukończył szkoły i bardzo wcześnie w 17. roku życia 1849. wstąpił do Zgromadzenia Księży Misyonarzy w Warszawie, odbywszy dwuletnią próbę, stosownie do reguły tego Zgromadzenia; przeszedł kurs filozofii i teologii i w r. 1855. został wyświęcony na kapłana.

Po wyświęceniu był dwa lata kapelanem w szpitalu Dzieciątka Jezus, następnie dwa lata profesorem w seminaryum dyecezalnem w Lublinie, a potem aż do przeniesienia seminaryum świętokrzyskiego do św. Jana wykładał w niem historyę powszechną i geografię do r. 1864. Po przeniesieniu seminaryum świętokrzyskiego do św. Jana był dalej wikaryuszem przy kościele św. Krzyża, następnie jakiś czas kapelanem PP. Wizytek i prawie jednocześnie magistrem śpiewu i ceremonii w seminaryum św. Jana — od czternastu lat jest dyrektorem Sióstr Miłosierdzia, wikaryuszem u św. Krzyża i spowiednikiem PP. Wizytek. Na wszystkich tych urzędach czcigodny Jubilat spełniał obowiązki na niego włożone sumiennie i spełnia je po dziśdzień, pomimo sędziwego wieku cichy, skromny, pobożny, dobroczynny przy swoich bardzo szczupłych funduszach, dzieląc się ostatnim groszem z biednymi; zjednał sobie uznanie i szacunek władzy duchownej, kapłanów i ludu pobożnego, czego dowodem jest owo liczne zebranie na jego uroczystą Mszę św. jubileuszową.

Po skończonej ceremonii o godz. 2-giej po południu przybyli na Tamkę Jego Ekscelencya Ks. Biskup Ruszkiewicz, kapituła metropolitalna i kapłani, którzy uczestniczyli w uroczystości kościelnej, na obiad, podczas którego Jego Ekscelencya w mowie serdecznej przedstawił zasługi Jubilata w ciągu pięćdziesięcioletniej pracy jego kapłańskiej.

Przemówił potem ks. prałat Retke, urodzony i wychowany w parafii świętokrzyskiej, którą do r. 1865. zarządzali Ks. Ks. Misyonarze, przedstawiając ich zasługi około zbawienia dusz, a którego to Zgromadzenia jest czcigodny Jubilat członkiem; przemawiał także ks. kanonik Kakowski, regens

seminaryum, przedstawiając zasługi Ks. Ks. Misyonarzy w wychowaniu młodzieży, powołanej do stanu duchownego, z pod dyrekcyi których wyszło nawet wielu biskupów, jako to: Dembowski, biskup kujawski i naszych czasów biskup Plater; przemówił także i ks. prałat Siemiec, jako wychowaniec seminaryum świętokrzyskiego, mile wspominając czas przebyty pod dyrekcyą Ks. Ks. Misyonarzy. To też te przemówienia napełniły radością serce Jubilata, że jest członkiem Zgromadzenia tak zasłużonego i że dalej godnie życiem i czynem podtrzymuje jego sławę.

Po skończonym obiedzie w sali, na ten cel przygotowanej, wychowanki Instytutu św. Kazimierza odegrały budujące przedstawienie: „Duch św. Wincentego".

Uroczystość ta budująca na długie lata pozostanie w sercach uczestników, to też wszyscy, rozchodząc się, życzyli sobie doczekać takiej drugiej.

Tomas Koelio. — Poświęcenie szkoły. *Gazeta Polska w Brazylii* z 9. listopada 1905. r. podaje następującą notatkę:

Dnia 22. października 1905. r. odbyło się uroczyste poświęcenie szkoły, zbudowanej na tak zwanych „Rosach". Po nabożeństwie zgromadzili się prawie wszyscy tej okolicy gospodarze w szkole, przybranej w zieleń. Oczekiwano na W-ch Ks. Ks. Misyonarzy, którzy punktualnie o godz. 4-ej przybyli na miejsce, serdecznie witani przez oczekujących. Aktu poświęcenia dopełnił Przew. ks. Bajer w asystencyi ks. Chilaszka. Mowa, którą wygłosił W. ks. Superyor przy otwarciu szkoły, dotyczyła wykazania koniecznej potrzeby oświaty i korzyści z takowej. W imieniu ogółu odpowiadał gospodarz J. Gębarowski, dziękując Przew. Ks. Ks. Misyonarzom za moralne i materyalne poparcie obywatelskich usiłowań mieszkańców oraz dziękował wszystkim, którzy jakimbądź darem przyczynili się do tego zbożnego dzieła.

Ziemię pod szkołę bezinteresownie ofiarował gospodarz Jakób Nowak (pół kwarty) a W-ni Ks. Ks. Misyonarze ławki

i tablicę do szkoły oraz 45.000 rs. na robotę. Szkołę na „Rosach“ prowadzi obecnie nauczyciel p. W. Żuławski.

Siostry Miłosierdzia. Wrocław. Nowy zakład pod wezwaniem wspomożenia wiernych w Gr. Tschansch pod Wrocławiem.—W październiku r. 1905. objęło Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia nowy dom w Gr. Tschansch, wsi, odległej 5 kilometrów od Wrocławia. Fundatorką jego jest pani hr. Stolberg z Wrocławia. Trzy Siostry tam umieszczone mają przedewszystkiem wpływem swoim przyczynić się do naprawy obyczajów i rozbudzenia pobożności między ludnością katolicką, narażoną na utratę wiary św. przez zażyłość z innowiercami. Piątego listopada odbyło się poświęcenie kaplicy domowej; starszy kapłan, stale przy niej mieszkający, odprawia codziennie Mszę św.; nawet innowiercy postanowili uczęszczać tam na nabożeństwo, zadowoleni, że odtąd nie będą potrzebowali chodzić do swych odległych kościołów w Wrocławiu. Wogóle mieszkańcy tej wsi bez różnicy wyznania okazują wielką radość z przybycia Sióstr; przychodzą do nich po lekarstwa i opatrunki. Do ochronki uczęszcza przeszło 50 dzieci; zapał do nauki między niemi wielki; już o 6-ej rano chcą wstawać i biedz do swej Siostrzyczki, a każde jak najbliżej przy niej bawić się pragnie.

Siostry mają zająć się także odwiedzaniem chorych i założą stowarzyszenie „Dzieci Maryi“ dla dziewcząt. Na wiosnę rozpocznie się przy ogrodzie Sióstr budowa nowego kościoła katolickiego.

Wilno. Czy powrócą Siostry Miłosierdzia? — *Kuryer wileński* z dnia 21. grudnia 1905. r. podał następujący artykuł:

Szpitale wileńskie są dalekie od wzorowego stanu. Pisano o tem wiele, a skarg nieustannych nie zliczyć. Co dzieje się po szpitalach powiatowych, łatwo sobie wyobrazić. Przyszłe ziemstwa będą miały sporo roboty, zanim jaki taki porządek zaprowadzą w tym dziale gospodarki miejscowej. Kwestya to jednak dalsza. Reorganizacya szpitali przeprowadzoną

będzie z natury rzeczy powoli, licząc się z niemałemi kosztami, które reforma pociągnie za sobą.

Jest atoli sprawa poszczególnie związana ściśle nie z powolnem, ale doraźnem podniesieniem poziomu, na jaki spadły szpitale w kraju naszym. Przedewszystkiem zaś sprawa ta dotyczy opieki i doglądu nad chorymi, a wiadomo przecie, że żaden lekarz najświetniejszy nie upora się z żadną chorobą, jeżeli pacyent trwać będzie w warunkach uniemożliwiających wszelkie skuteczne leczenie.

Felczer, dozorca, służący... cenna to niezaprzeczenie pomoc dla lekarza, ale nie potrzebujemy zbyt szeroko dowodzić, że dziś u nas pomoc ta bynajmniej nie idealna.

Z kraju naszego dzięki zarażeniu polityką antypolską całej działalności społecznej i całej „opieki" rządowej, wygnano przed laty święte niewiasty znane całemu światu pod nazwą Sióstr Miłosierdzia.

Wygnano je z obawy, aby, strzeż Boże, nie szerzyły „polskości" wśród ludzi, którym cała wogóle doczesność znika z przed oczu... aby, strzeż Boże, nie podpowiedziały konającemu pacierza w języku, w którym modlił się dzieckiem u kołyski, powtarzając za matką słowo po słowie... aby, strzeż Boże, nie wywołały radośnego uśmiechu na usta bólem skrzywione lub spalone gorączką... Słowem, wygnano je. A trzeba je znów przywołać na ciężki posterunek. Mamy dziś nie tylko prawo domagać się tego, ale i obowiązek.

Niedawny a fatalny strejk służby szpitalnej w Wilnie uświadomił, zda się, w dostatecznej mierze społeczeństwo nasze, że tego rodzaju objawy powtarzać się nie powinny. A wierzymy święcie, że strejk Sióstr Miłosierdzia jest wręcz niemożliwy.

Mistrz ich, św. Wincenty à Paulo, nie odstąpił od łoża chorego, nie rzucił na los szczęścia biednej istoty ludzkiej — nigdy! Mamy wiarę w Szarytki nasze bezgraniczną. Czcimy je, uwielbiamy, szczycimy się niemi — i w imię dobra publicznego, w imię ogólno-ludzkich ideałów domagamy się,

aby w kraju naszym co rychlej wznowiona została ich dobroczynna, święta działalność.

Abranches. *Gazeta Polska w Brazylii* umieściła w numerze z 7. grudnia 1905. r. bardzo pochlebne sprawozdanie z pierwszego egzaminu, jaki się odbył w polskiej szkole w Abranches, zostającej od roku pod kierownictwem Sióstr Miłosierdzia z prowincyi chełmińskiej. Obszerniejszą wiadomość o tym wypadku poda do następnego zeszytu *Roczników* jedna ze Sióstr, pracujących w Abranches.

Pro memoria!

Confratres nostrae provinciae a superioribus missi degentesque per interim in domibus Sororum Charitatis vel confratrum in aliis dioecesibus quoad iurisdictionem ad excipiendas ss. confessiones haec attendant:

1. *In Dioecesi Cracoviensi* procuranda est eis iurisdictio *de casu ad casum*.
2. *In Dioecesi Tarnoviensi* R. A. D. Visitator Jos. Kiedrowski, necnon confratres missionibus addicti R. R. D. D. Sokołowicz, Szymbor et Kandora obtinuerunt iurisdictionem ad excipiendas Christifidelium confessiones et facultatem absolvendi a casibus reservatis ad tres annos, qua expirata nova providebitur; caeteri confratres pro *sororibus* tantum ad d. 30. Dec. 1908.
3. *In Dioecesi Premisliensi* concessa est iurisdictio ad excipiendas conf. Christifidelium cum facultate absolvendi a casibus P. T. Sedi Ordinariae reservatis ad *triennium* (d. 19. Dec. 1908.).
4. Intra fines *Archidioeceseos Leopoliensis* omnes confratres nostri per interim eiatibus confratribus iuvamen ferentes, vel in domibus Sororum Char. degentes gaudent iurisdictione *usque ad revocationem;* de casibus reservatis non constat. (Rescr. d. 3. Martii 1902. Nr. 1342).
5. *In Dioecesi Vratislaviensi* Rescripto Eminentissimi Georgii Cardinalis Kopp de die 27. Decembris 1905. concessa est nostris iurisdictio ad excipiendas confessiones *Sororum* tantum — usque ad revocationem.
6. *In Archidioecesi Gnesno-Posnaniensi* procuranda est iurisdictio *de casu ad casum*, nisi quis aliam personaliter obtinuerit.
7. *In Dioecesi Culmensi* omnes nostri confratres, a Visitatore missi, gaudent iurisdictione *pro sororibus, omnibusque fidelibus* ad dies vitae (officii) A. R. D. Kiedrowski, Visitatoris Nostri.
8. *In Dioecesi Warmiensi* tandem procuranda est *de casu ad casum* iurisdictio.

ZMARLI:

Misyonarze:

Ks. Antoni Charles, 2. września w Manili (Filipiny), żył lat 27, w Zgromadzeniu 11.
Ks. Serafin Porcellotti, 5. października w Peruzyi (Włochy), żył lat 66, w Zgromadzeniu 39.
Ks. Izydor Cornu, 12. października w Lille (Francya), żył lat 76, w Zgromadzeniu 53.
Ks. Leon Urien, 5. września w St. Marcellin (Filipiny), żył lat 34, w Zgromadzeniu 17.
Ks. Oktawiusz Montenuis, 21. października w Dax (Francya), żył lat 44, w Zgromadzeniu 19.
Ks. Andrzej Giraud, 4. listopada w Berceau (Francya), żył lat 32, w Zgromadzeniu 13.
Br. Maciej Ortega, 8. listopada w Badajoz (Hiszpania), żył lat 77, w Zgromadzeniu 56.
Ks. Antoni Nota, 16. listopada w Neapolu (Włochy), żył lat 58, w Zgromadzeniu 41.
Ks. Maturin Oresve, 1. grudnia w Bédée (Francya), żył lat 73, w Zgromadzeniu 43.
Br. Patrycy Mac Kay, 1. grudnia w Dublinie (Irlandya), żył lat 65, w Zgromadzeniu 42.
Ks. Wawrzyniec Olivier, 4. grudnia w Santiago (Chili), żył lat 52, w Zgromadzeniu 25.
Br. Jerzy Huwel, 9. grudnia w domu macierzystym w Paryżu, żył lat 64, w Zgromadzeniu 35.

Siostry Miłosierdzia:

1. Z prowincyi krakowskiej:

S. Marya Pawłowska, um. we Lwowie u św. Wincentego, 8. października, żyła lat 26, w Zgromadzeniu 5.
S. Józefa Nemetz, um. we Lwowie u św. Wincentego 10. października, żyła lat 64, w Zgromadzeniu 41.
S. Wiktorya Huss, um. w Przeworsku 6. listopada, żyła lat 72, w Zgromadzeniu 52.
S. Apolonia Giżewska, um. w Domu Centr. 24. grudnia, żyła lat 72, w Zgromadzeniu 48.

2. Z prowincyi chełmińskiej w ciągu r. 1905.:

S. Marya Przytarska, um. w Środzie, żyła lat 74, w Zgromadzeniu 44.

S. Amalia Wronka, um. w Pelplinie, żyła lat 70, w Zgromadzeniu 45.

S. Barbara Cieślicka, um. w Chełmnie, żyła lat 71, w Zgromadzeniu 47.

S. Elżbieta Mollenhauer, um. w Bysławku, żyła lat 70, w Zgromadzeniu 41.

S. Emma Jacob, um. w Bytomiu, żyła lat 70, w Zgromadzeniu 46.

S. Wiktorya Klajner, um. w Wolsztynie, żyła lat 71, w Zgromadzeniu 46.

S. Julia Zworowska, um. w Chełmnie, żyła lat 75, w Zgromadzeniu 46.

R. I. P.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.